

Nr 4 (27)  
2007



Zadanie dofinansowane  
ze środków MKiDN  
w ramach programu  
operacyjnego  
"Promocja czytelnictwa"

ISSN 1732-1069

# PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W GORZOWIE WLKP.  
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH - ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP.

Marek Grewling

## WYJŚĆ Z SUPERMARKETU

Świat współczesny naznaczony jest stygmatem, który obrazowo można określić jako hipermarket. Dlaczego właśnie hipermarket? Otóż dlatego, że współczesna nam ponowoczesna kultura przypomina nieco zakupy w takim właśnie miejscu. Jest ono rzeczywistością niewymagającą i wypełnioną niezłożonymi komunikatami, instrukcjami i reklamą. Taka jest kultura masowa, takie teksty „topowych” piosenek i treści oglądanych produkcji filmowych. Ciąg kolorowych obrazów i prostych instruktażowych zdań. Z kolei ilość produktów popkultury stała się odwrotnie proporcjonalna do ich jakości. I chociaż ze względu na zalew kulturopodobnego produktu konsument ma możliwość wyboru, to jakość oferty jest niska. O jej atrakcyjności ma świadczyć pociągająca forma – czyli posługując się terminologią hipermarketu, kolorowe opakowanie. Człowiek obcujący z takim rodzajem sztuki odnosi wrażenie, że karmi się kulturą, bowiem w powodzi tandety traci krytyczne odniesienia. Wybieramy więc wiele pozornych „dóbr” z poczuciem, że oto stajemy się bardziej kulturalni – wcale nie stając się takimi. Możliwość wyboru ugruntowuje nas w takim poczuciu. Podobnie jak biedak, który pcha przed sobą wózek pełen mało wartościowego towaru kupionego w rzecznym hipermarkecie, czuje się zamożny i przekonany, że dobra świata są w zasięgu jego ubogiej ręki.

Skutkiem tego kultura hipermarketu stała się zatrwająco wszechobecna. Żyjemy wśród komunikatów powtarzanych przez miliony za popgwiazdami i ich estradowymi enuncjacjami, posługujemy się językiem w jego prymitywnej formie, którą jakże dobrze wyraża esemesowy sposób porozumiewania się ignorujący ortografię, gramatykę i styl...

W powyższym kontekście cieszy mnie, że są tacy młodzi ludzie, dla których komunikat telefonu komórkowego, fabuła gry komputerowej czy odkrywcze przesłanie wykrzywane przez idoli estradowych nie stanowią miary doznań duchowych. Postnowoczesna rzeczywistość kulturalna staje się dla nich pretekstem do kwestii, czy to na pewno jest wszystko, co mamy do powiedzenia w tej sferze. Szukając odpowiedzi na to pytanie sięgają po lektury kanonu klasyki literackiej i próbują odnajdywać owe zapomniane nowe wspaniałe światy, eksplorują pokłady własnych dusz i umysłów. W końcu przelewają swoją wrażliwość na papier. A przecież tak właśnie rodzi się poezja! Ten, kto kiedykolwiek prowadził dziennik, zrozumie moje wzruszenie podczas czytania zeszytów z zapiskami, z wierszami i przemyśleniami nastolatków AD 2007. Oto stałem się świadkiem poczęcia młodej elity.

ciąg dalszy na str. 2



## WSZYSCY JESTEŚMY PROFANAMI

Z Jerzym Gąsiorkiem - bohaterem numeru  
rozmawia Małgorzata Dobrowolska

*Spotykamy się w poniedziałek 20 sierpnia, choć Jerzy Gąsior w tomiku „Ja, profan” wyraźnie pisze: „Nie lubię poniedziałków z oczywistych względów”.*

**\* Swój piąty tomik zatytułował pan „Ja, profan”. Widać w nim jednak podobieństwo do poezji ks. Jana Twardowskiego.**

– Myślę, że to podobna wrażliwość. On pisze ciepło, od serca, jest zrozumiały i prowadzi dialog z Bogiem. W tym jest zawsze taka niepewność. Trudno, żebym dobrze mówił o swoich wierszykach (*to było złośliwe*), ale ich zaletą jest właśnie prostota. Ja piszę spontanicznie. Nie mam ambicji ciągłego cyzelowania, przerabiania, nikomu nie daję tekstów do korekty. A jak czytam niektóre współczesne poezje, myślę sobie, że za nic ich nie rozumiem.

**\* Tytuł „Ja, profan” sugeruje oddalenie od Boga. Ale w tomiku są utwory religijne.**

– Świadomie użyłem tego określenia. My wszyscy jesteśmy profanami, np. gdy niszczymy przyrodę. Nie potrafimy docenić tego, co mamy, a życie jest takie krótkie. Warto zadbać o ten glob dla przyszłych pokoleń, bo już teraz siedzimy na wielkiej bombie. W przyrodzie widać ingerencję tego największego demiurga. Jednak, gdy w czasie wyprawy na Bliski Wschód wpatrywałem się w niebo, miałem pretensje do Boga: Po co to takie wielkie,

ciąg dalszy na str. 10

c.d. ze str. 1.

## WYJŚĆ Z SUPERMARKETU

Zglajszachtowany świat hipermarketowej kultury potrzebuje elity. Potrzebuje niebanalnych ludzi, którzy staną się wzorcem, równaniem w górę dla tych, którzy przestali już stawiać sobie jakiegokolwiek pytania. Wzorcem dla tych, którzy wszelkie odpowiedzi odnaleźli na etykietkach pseudoskARBów wrzuconych do hipermarketowego koszyka pod tytułem „kultura”. Ci, którzy szukają piękna i mądrości w cieniu neonów jarmarku popkultury, którzy zakwestionowali postnowoczesność, by powrócić do kanonów, stali się tym samym obywatelami platońskiego świata idei i to właśnie oni wyszli z mroków jaskini ku światłom przewyższającym swoją urodą światła wszystkich neonów. Ich wiersze to krok w chmury, w bogactwo kontekstów i zrozumienie źródeł kultury. Etiologia, stąd pytania i próby odpowiedzi. Stąd też pokora wobec wielkości i bogactwa cywilizacji.

Paradoksalnie płytka kultura postnowoczesna stała się stymulatorem, a nierzadko tworzywem, ale młodzi poeci udowadniają, że to nie tworzywo panuje nad nimi – lecz oni nad tworzywem. Zatem, wyszli z hipermarketu. Tak rodzi się prawdziwa elita.

### Polecamy w numerze:

#### POEMAT O MIEŚCIE GORZOWIE

GOTTFRIED BENN RAZ JESZCZE

PIOTR MICHAŁOWSKI - POETA-PROFESOR ZZA PÓLNOECNEJ MIEDZY

„JA, PROFAN” - NOWA KSIĄŻKA GĄSIORA

„MIEJSKIE WIERŠE O PRZEDMIOTACH” - NOWA KSIĄŻKA JOANNY ZIEMBIŃSKIEJ-KUREK

„INKLINACJA” I INNE NOWE WIERŠE MŁODEJ, UTALENTOWANEJ POETKI Z BOLEMINA - NATALII PAŁCZYŃSKIEJ

„FIGOWY SMAK ŚMIERCI” - OPOWIADANIE CZESŁAWA MARKIEWICZA (II NAGRODA W KONKURSIE PROZY IM. I. DOWGIELEWICZOWEJ)

NOWE WIERŠE POETÓW GORZOWSKICH

MY I NIEMCY NA VIADRINIE

SATYRA NA CZASIE - POLSKICH LEKTUR CIĄG DALSZY

## Katedralne Anioły

pod zieloną kopułą  
trwają ludzkie myśli  
modlitwy które  
zmyliły drogowskazy

czasami  
w zakurzony mrok  
wpadają Gniewne Anioły  
zamiatają skrzydłami  
zmuszając do wyboru  
pomiędzy światem,  
grzechem i niebem

jak trudno podjąć decyzję...  
monetę do rzucania  
leżącą tu od wieków  
błogosławioną przez patrona  
od gier liczbowych  
i zawsze trafnego wyboru-  
ktoś ukradł  
chuchnąwszy na szczęście w

przy ostatnim remoncie  
katedralnej wieży...

## Deszcz

deszcz  
orkiestra werbli  
dachów bębny  
zanim zamienia się  
w wodospady  
deszcz

na parasolach  
na rozmazanych twarzach  
przyłapanych kobiet  
deszcz

gdzie ci zakochani?  
co tańczą śpiewając  
i tupią po kałużach  
- *Któż nie zna tego filmu* -  
deszcz

kropla za kroplą  
i coraz wolniej  
i nic już...

wysycha ziemia  
powietrze świeże  
coś ginie, a coś odżywa –  
tyle zostaje z ludzkiej rozpacz  
i łez...  
padał deszcz...

## Wieczór w parku róż

ścieżki wydeptane  
szepcaniem  
przełgąda się w wodzie  
stary kasztanowiec  
wieczorem wygląda dostojniej

stoi w przymusowym mundurku  
parkowych drzew  
wydrapane serca - pamiątki  
po miłości tej jednej, jedynej  
i zawsze na wieki...

porzucone zaklęcia  
trwają jeszcze  
w ptasich sypialniach,  
w podniebnych hamakach  
gdzie kołysze się słońce

w mroku  
cykady słychać wyraźniej...

na nic moje oczarowanie...  
zapalają się latarnie  
Apel Jasnogórski  
z wieży katedry  
stoi na straży mej czci  
już dziewiąta...  
czas ustąpić miejsca  
na parkowej scenie  
Szczęśliwszej Królowej Nocy...

## Requiem dla parku

któregoś ranka  
odrabano rozłożyste ramiona  
by nie mogły się obronić  
ani szumieć z rozpacz...

potem pocięto w plastry  
pnie co jeszcze wczoraj  
wydawały się wieczne...

liczono słoje  
zazdroszcząc komuś srebrników  
wyrrywano korzenie  
szarpiąc i niszcząc potęgę  
a prochy pokoleń  
pod drogę rozsypało...

wśród znoju katów i  
przekleństw  
splunąć nad kikutami tego co  
pozostało  
cicho i posepnie  
uleciały do nieba  
uwolnione z korzeni dusze...

## Spacer

tyle razy zaczynałam od nowa  
 snułam plany  
 chodziłam po ulicach  
 w poszukiwaniu spokoju  
 razem ze starym psem  
 cudzym przyjacielem  
 wdzięczna mu byłam  
 za obecność  
 alibi samotnego kobiecego  
 włóczenia...

pod sklepem  
 spotykałam żebraka  
 wciąż ta sama wyciągnięta dłoń  
 i ochrypły głos uświadamiał  
 że nie jedyna na świecie  
 czegoś pragnę  
 aż w końcu odpuścił mi-  
 machnięciem ręki przyznał  
 upust dla stałego darczyńcy...

pochodzę jeszcze trochę  
 i postawią mi pomnik  
 jak pewnemu żebrakowi  
 w uznaniu jego kolorytu  
 albo kupią motorower  
 nawet taki z brązu może służyć  
 do podparcia...  
 zasad moralnych...

## moje miasto...

zapełniające się pomnikami  
 dzwonami, tablicami  
 bulwarami,  
 łopotem coraz dłuższych flag  
 i hucznym odsłanianiem  
 powyższych

zwykłemu człowiekowi  
 zostaje do utożsamiania się  
 goły Świńster  
 albo kobieta-siłaczka  
 z podwójnym znojem u ramion  
 zamiast wiader...  
 w niemodnej spódnicy na gumce  
 z lumpeksu...

## Rzeka

rzeko  
 milcząca dziś jesteś  
 połykasz łzy  
 litościwie oddajesz pozory  
 mieszając rozpacz  
 z przybrzeżnym wiatrem  
 rzeko

wijesz się gniewnie  
 pod burzą  
 namiętna kochanko...  
 lub przeciągasz leniwie  
 pobłażliwie spoglądając  
 na tych co u twego brzegu  
 wyznają sobie coś na zawsze...

przeglądałam się w tobie  
 bo jesteś wieczna

*zapewnij mnie  
 że będę szczęśliwa!*

rzeko płyń!  
 teraz już wiem –  
 nie rzucę płatków z wianka  
 na swoje pokuszenie...

## ...U brzegu rzeki...

powróż mi rzeko  
 ale tylko prawdziwie  
 mosty  
 - bransolety, pierścienie  
 zarośla  
 - falbaniaste spódnice

złożyłam ci przecież okup  
 w dawną, świętojańską noc,  
 wrzucałam wianki do wody  
 z nadzieją wypatrując celu ich  
 podróży...  
 świeciły daleko,  
 tam, gdzie nurt szybki  
 wzrok porywa...

wciąż czekam na spełnienie  
 obietnicy

powróż mi rzeko  
 ale tylko prawdziwie  
 i złych rzeczy zapomnij  
 lub powiedz niewyraźnie  
 bym czekać mogła z nadzieją  
 u twego brzegu...

## Platan przy muzeum

oplatam pień  
 dostojny  
 w konarach potężnych  
 kołysze się niebo...

siła natury go nie pochyli  
 wieczny mocarz  
 kochanek Muz  
 przysiadają przy tobie  
 z upodobaniem

białe i najszcześniejsze  
 do ślubnego zdjęcia

trwasz niewzruszony...  
 tak długo  
 aż Kat  
 wybrany wolał ludu  
 albo inny wybryk historii  
 nie zwolni cię z tego obowiązku  
 jednym podpisem długopisu  
 skazując  
 na zapomnienie...

## Nasylenie

nasyścić się chcę miastem...  
 mrużyć oczy  
 od blasku słońc na dachach,  
 wzdłuż strumienia  
 odliczać kamienice  
 cygańskie korale...

żałuję że nie spisałam  
 babcinych opowieści  
 o tym co było  
 o tym co będzie...

w moim mieście  
 chcę zgubić samotność  
 między twarzami  
 kiedyś się odważę  
 złapać wstążkę latawca  
 orędownika wolności  
 co podała w swoje światy...

nasyścić się chcę  
 tym dniem  
 do ostatniego dźwięku  
 katedralnego zegara...

## wrastam

wrastam powoli  
 w kamienie  
 w ulice  
 w drzewa

chyba w drzewa najbardziej  
 bo żyją prawdziwie  
 zanurzając korzenie w świętą  
 ziemię...  
 a ramiona w przestrzeniach...

zostawić chcę  
 po sobie  
 dźwięki, myśli, słowa  
 póki nie zrozumie  
 że idealną harmonią  
 jest  
 zapomnienie...



Krystyna Kamińska

## Gottfried Benn - pisarz uwikłany w XX wiek

Przez prawie dwa wojenne lata mieszkał w Landsbergu – dzisiejszym Gorzowie Gottfried Benn, znany poeta i publicysta niemiecki, a utwory wówczas napisane uznawane są za najważniejsze w jego dorobku twórczym. Zawsze czuł się emocjonalnie związany z Brandenburgią, wychowywał się po obecnie polskiej stronie Odry. Zarówno więc ze względów artystycznych jak i lokalnych wydaje nam się niezbędne przypomnienie tego wybitnego poety i myśliciela o losie skomplikowanym przez niemiecką historię XX wieku. W numerze 2 (25) opublikowaliśmy fragment jego przemyśleń zrodzonych w landsberskich koszarach. Dziś więcej o tym poecie i intelektualście.

### Szczęśliwe dzieciństwo w brandenburskiej wsi

Urodził się 2 maja 1886 r. jako syn protestanckiego pastora w Meklemburgii, ale od pierwszego roku życia wzrastał w miejscowości Selin (obecnie Zielin, gmina Mieszkowice, blisko północnej granicy województwa lubuskiego). Do dziś stoi rodzinny dom Gottfrieda Benna, choć plebania znajduje się w niedawno zbudowanym. Niewiele zmienił się natomiast kościół. Wspominał: *Rosłem pośród wioskowych chłopaków, gadałem dialektem platt, aż do listopada biegalem boso, uczyłem się w szkółce wiejskiej, byłem konfirmowany wraz z dziećmi robotniczymi, jeździłem drabiniastym wozem na pole po zboże, na łakę w czas sianokosów, pasalem krowy, zrywałem wiśnie i orzechy, wiosną kręciłem fujarki z młodych witek wierzbowych, wybierałem ptasie gniazda. Do dziś ziemię tę uważam za rodzinne strony, choć nikogo tam już nie znam. Ziemia dzieciństwa, kraj ukochany.*

Biednie, ale szczęśliwie się żyło jego rodzinie z ośmiorgiem dzieci. Ojciec i dziadek byli fanatycznie religijnymi pastorami. Matka, która pochodziła z francuskiej części Szwajcarii i do końca życia nie opanowała dobrze języka niemieckiego, do domu pastora wniosła powiew romańskiego ducha i francuskie piosenki. Gottfried bardzo kochał matkę. Do końca życia miał do ojca pretensje, że gdy w mękach umierała na raka, w imię wartości religijnych nie pozwalał na podanie żonie środków uśmierczających.

Duchowa odmienność rodziców dała mu podstawę do wniosków ważnych w tamtych latach: *Poprzez małżeństwo moich rodziców zmieszaly się we mnie germańskość i romańskość, te dwa najważniejsze składniki ludności europejskiej. Powstała w ten sposób mieszanka, ale nie mieszańcy, krzyżówka, ale nie bastardzi, w każdym razie mieszanka aryjska.* Dwa typy kultury, jakie wnieśli rodzice, podobnie - jak to on określał - ich różny „materiał genetyczny” inspirowały później Benna do rozważań na temat mieszanek kulturowych i rasowych. Sam siebie uznawał za efekt „hodowli” procesów kulturowych i biologicznych.

W 1903 r. zdał maturę w gimnazjum we Frankfurcie i rozpoczął studiowanie teologii i filozofii na uniwersytecie w Marburgu. Jednak po kolejnych dwóch latach, w 1905 r. zmienił kierunek studiów na medycynę w berlińskiej Akademii Medycyny Wojskowej (Kaiser-Wilhelm-Akademie), gdzie specjalność lekarza sanitarnego można było studiować za niewysoką opłatą.

### Najwyższe wyostwienie pojęć

W 1912 r. uzyskał tytuł doktora medycyny na podstawie rozprawy „Częstotliwość występowania cukrzycy w wojsku”. Tam, jak później pisał, nauczył się *zimnego myślenia, trzeźwego stosunku do życia, najwyższego wyostwienia pojęć.* Wkrótce z przyczyn zdrowotnych opuścił wojsko i podjął pracę w najmniej przyjemnej dziedzinie medycyny: został lekarzem kasy chorych o specjalności skórno-wenerycznej, miał więc do czynienia głównie z marginesem społecznym.

W tym samym 1912 r. debiutuje tomem wierszy „Morgue” (to francuskie określenie oznaczało w żargonie trupiarnię). Ciekawe, że w tym samym roku i w tym samym wydawnictwie Alfreda Richarda Meyera w Wilhelmsdorfie został wydany debiutancki tom wierszy Filipa Tomasza Marinettiego – twórcy futuryzmu. Benn natomiast stał się czołowym poetą niemieckiego ekspresjonizmu.

Jego poezja wyrasta z dwóch źródeł: świat egzystencjalny, z dominującymi doświadczeniami praktyki lekarskiej skonstrastował z idyllicznym światem dzieciństwa. Dziecko wsi zetknęło się w mieście z tym, co najgorsze, najbardziej brudne i gnijące. Uroda świata została w wierszach tych nie tylko zakwestionowana, ale przekreślona, odrzucona. Sztuka - zdaniem Benna - winna wyrażać dramat życia ze wszystkich stron otoczonego przez śmierć. A pisać o tym powinno się obiektywnie, rzetelnie, niemal protokołarnie, bez przymiotników, bez ozdób. Dla przykładu – wiersz „Piękna młodość”:

*Usta dziewczyny, która długo leżała  
w sitowiu wyglądały jak ogryzione.  
Kiedy otworzono klatkę piersiową, przelyk był dziurawy.  
Wreszcie pod łukiem przepony  
znaleźliśmy gniazdo młodych szcurów.  
Mała siostrzyczka leżała nieżywa.  
Inne żywiły się wątrobą i nerkami,  
piły zimną krew i przeżyły  
tutaj piękną młodość.  
I piękna, lecz szybka, zastała ich też śmierć:  
wrzucono je wszystkie do wody.  
Ach, jak kwiczały małe pyszczki!*

*Tłum. Krzysztof Karasek*

Benn stał się popularny w kręgach berlińskiej, artystycznej młodzieży, bo wyrażał jej przerażenie światem. Było to krótko przed I wojną światową, najbardziej krwawą wojną, w której wymordowano niemal całe to młode pokolenie.

### Narodziny doktora Rönne

W sierpniu 1914 r. został wcielony do wojska jako lekarz frontowy. Kilka tygodni wcześniej poślubił Edith Osterloch, wdowę z Monachium. Tymczasem zamiast uroków życia rodzinnego, na co ogromnie liczył, podczas walk w Belgii poznał smak wojny. Uczestniczył w szturmie Antwerpii, asystował przy rozstrzelaniu brytyjskiego szpiega, widział całą brutalność wojny. W wyniku doświadczeń i przemyśleń powołał do literackiego istnienia postać

doktora Rönne, bohatera opowiadań z cyklu „Gehirne” („Mózgi”), którego cechuje *ontologiczny brak zaufania* – jak to określił Hubert Orłowski. Doktor Rönne tak dalece wątpi we wszystko, że zakwestionował sens istnienia rzeczywistości, a nawet przekreślił pojęcie jednostki. Inne istotne cechy jego postawy to utrata autorytetów, brak zaufania dla intelektu, totalna dezorientacja. Przy tym warto wiedzieć, że Benn nigdy nie uznawał zasad demokracji parlamentarnej, uważał je za szkodliwe zarówno dla państwa, jak i dla jednostki. W końcu lat 20. już był gotowy na przyjęcie ideologii nazistowskiej.



ale jako jeden z nielicznych cenionych pisarzy i członków Akademii opowiedział się po stronie Hitlera. Najpierw w swojej pogadance radiowej pt. „Nowe państwo a intelektualiści”, potem na łamach prasy oddawał hołd nowemu państwu, które powstało *wbrew woli intelektualistów*. Poparł podporządkowanie jednostki sile wyższej – kolektywowi, idei wspólnego czynu. Nowe państwo to dla niego państwo władzy bezwzględnej, w którym działac będzie nowy typ biologiczny. Opowiada się za wyrzeczeniem się na rzecz państwa wolności osobistej, w tym wolności słowa, a nawet myśli. Oskarżał przy tym intelektualistów, którzy nie podporządkowali się doktrynie hitlerowskiej, przede wszystkim Henryka Manna, którego twórczość zawsze niezwykle cenił.

### „Honor szczególny”

W 1923 r. ukazały się pierwsze „Dzieła zebrane” Benna, czyli obejmujące dwa tomiki poezji, wiersze wcześniej publikowane głównie na łamach prasy. Benn wysuwa się na czoło ekspresjonistycznych poetów niemieckich. A przecież nie jest zauważany ani honorowany przez władze i instytucje kultury republiki weimarskiej. Z okazji swoich 40. urodzin w 1926 r. obliczył, że za dotychczasową twórczość zarobił 975 marek, czyli po 4 marki 50 fenigów miesięcznie. Poczucie niedoceniaenia tłumaczył brakiem kulturowego przygotowania całego niemieckiego społeczeństwa doby weimarskiej do przemian i wyzwń przyszłości.

Na początku lat 30. bardzo żywe były w Niemczech publiczne dyskusje na temat roli artysty i intelektualisty dla państwa i narodu. Benn – lekarz i przyrodnik – opowiedział się za biologicznymi uwarunkowaniami zachowań człowieka. Twierdził, że rozwój umysłowy ma decydujący wpływ na budzenie pierwotnych instynktów, a tym samym hamuje postęp kulturowy. Ten jego pogląd wywołał ożywioną dyskusję, ale wnioski uzależnione były od postaw politycznych dyskutantów.

W 1932 r. Gottfried Benn został wybrany na członka Sekcji Literatury Pruskiej Akademii Sztuk Pięknych, co do końca życia uznawał za „honor szczególny”.

Również w tym czasie poznał kupca z Bremy - Friedricha Wilhelma Oelze, z którym niemal do samej śmierci utrzymywał korespondencję. W 750 listach wydanych później w trzech tomach zawarł przemyślenia niezwykle ważne dla sztuki i kultury niemieckiej. Zajmował go przede wszystkim zakazany w okresie hitlerowskim problem poszukiwań artystycznych. W czasie, gdy powstawały, nie mogły być znane szerokim kręgom.

### Przemówiła historia

Tymczasem przyszedł rok 1933 i przejście władzy przez Hitlera. Benn cieszy się ze zmian. Píše: *Mamy więc rewolucję. Przemawia historia. Kto tego nie spostrzega, jest chory na umyśle. (...) Oto nowa epoka bytu historycznego*. Już w marcu 1933 r. opracował swoistą lojalkę i kazał podpisywać członkom Akademii. Faszyci skutecznie oczyszczali kręgi literackie z „elementów obcych niemieckiemu narodowi”, przede wszystkim właśnie Sekcję Literacką Pruskiej Akademii. Dużo było wtedy dyskusji intelektualnych. Benn także włącza się tych dyskusji,

Przekonanie do ideologii hitlerowskiej doprowadziło go do zaakceptowania ustawy o zapobieganiu wydawania na świat potomstwa obciążonego chorobami dziedzicznymi. A był to pierwszy akt prawny legalizujący eutanazję.

Tymczasem władza wcale nie chce właśnie w Bennie widzieć swojego głównego orędownika. Wywodził się on przecież z nurtu egzystencjalnego, nurtu sklasyfikowanego przez nazistów jako sztuka zwyrodniała. Jego liryka rozkładu, eksponowania brzydoty i śmierci nie pasowała do faszystowskiej koncepcji, czystej i zdrowej sztuki mającej służyć narodowej propagandzie. Nie minął rok, gdy goebbellsowska prasa rozpoczęła nagonkę na Benna za jego rzekomo żydowskie pochodzenie i uprawianie zdegenerowanej poezji. W konsekwencji w czerwcu 1934 r. wykluczono go z Akademii Sztuki.

Nie mógł emigrować, bo naraził się niemieckim intelektualistom, którzy wcześniej opuścili kraj. Paradoksalnie uznał, że najbezpieczniej będzie mu w... wojsku. Był lekarzem wojskowym w stopniu majora, więc zgłosił się do służby w Wehrmachcie. Od kwietnia 1935 do czerwca 1937 r. pełnił obowiązki lekarza inspekcji sanitarnej w sztabie w Hanowerze. Następnie wrócił do Berlina, gdzie próbował wrócić do życia kulturalnego. Choć od dwóch lat w ogóle nie publikował, decyzją nadesłaną listownie, bez podania przyczyn, wykluczono go ze Związku Piśmiennictwa Rzeszy, co było równoznaczne z zakazem publikowania. Benn skomentował to tak:

*Ekspresjonisto!*

*Nie wybiją ci pamiątkowej monety  
tak jak Grecy poetce Sefonie,  
w Niemczech zdradą kultury, niestety,  
jest już to, że masz cale skronie.*

Choć miał zakaz publikowania, własnym nakładem w 100 egzemplarzach wydał tomik „22 wiersze”, który zapoczątkowały ważny jego tom „Wierszy statycznych”.

### Landsberski fragment

W sierpniu 1943 r. wraz z Urzędem Pomocy i Zaopatrzenia Wehrmachtu przeniesiono go do koszar w Landsbergu i mianowano głównym lekarzem. Zamieszkał najpierw w wynajętym mieszkaniu przy ul. 30 Stycznia 2. Po przyjeździe do Landsberga pisał: *Nie ma tu nic do roboty, panoszy się dezorganizacja. W mieście nic do jedzenia, nic kupić nie można...* Potem przeniesiono go bliżej miejsca pracy, czyli koszar im. gen. von Strantza, *jak kasztel górującymi nad miastem* przy dzisiejszej ul. Chopina. Jako



adres podawał: blok II, pok. 66. W listopadzie 1944 r. dołączyła do niego druga młoda żona (pierwsza zmarła w 1922 r.), zamieszkali przy ul. Chopina 68 w budynku wielorodzinnym.

Opuścili Landsberg tuż przed wkroczeniem Armii Czerwonej w ostatnich dniach stycznia 1945 r. Wobec spodziewanego wkroczenia wojska radzieckiego postanowił zabezpieczyć swoje rękopisy. Wysłał je do przyjaciela Oelzega do Bremy jako spuściznę doktora Rönnego, czym przypomniał, że postać ta to *alter ego* autora. W ten sposób ocalał jego landsberski dorobek.

### Samotność artysty

Podczas pobytu w Landsbergu Benn pisze swoje najważniejsze eseje literackie i studia z filozofii kultury. W marcu 1944 r. rozpoczął pracę nad „Powieścią fenotypu” z podtytułem „Landsberger Fragment”, który przetłumaczono jako „Gorzowski fragment”. Powstało tu także wiele części „Życia podwójnego” oraz kilka wierszy, które weszły do tomu „Wiersze statyczne”. Wtedy nawiązał kontakt z Marią Diers, krytykiem literatury, aby poznać jej ocenę swojej twórczości. Wspomnienia i refleksje z landsberskich czasów zawarł w rozdziale IV „Podwójnego życia”, któremu nadał tytuł „Blok II, pokój 66” (obszerne fragmenty opublikowane były w nr 2 /2007 „Pegaza”). Zarówno wiersze jak i proza traktują o wyizolowaniu jednostki, o samotności osobowości twórczej w historii świata. Sam czuł się taką właśnie twórczą osobowością zepchniętą na margines. W 1952 r. w wystąpieniu na Międzynarodowym Biennale Poezji w Knokke powiedział: *Artysta jest samotny, jest odpowiedzialny tylko za siebie, ma wypełnić postawione tylko sobie zadania, a jego dzieło nie jest skierowane do nikogo*. Samotność stała się dla niego stanem naturalnym.

Przemyślenia z landsberskiego odosobnienia pozwoliły mu na sformułowanie nowego modelu sztuki. Uznał za najważniejsze, w jaki sposób artysta upora się z własnym nihilizmem i jakie będą relacje jego dzieł z tradycją. Po nihilizmie ogłoszonym przez Friedricha Nietzschego – zdaniem Bella - nastanie druga faza stylu ekspresjonistycznego, w której szczególną wartością będzie prawo artysty do własnej formy. To ona zdecyduje o przezwyciężeniu nihilizmu przez sztukę, która zdobędzie pierwszoplanową funkcję w kulturze i ideologii.

### Napiętnowany

W Berlinie mieszkanie Bennów zajęli obcy ludzie. Już następnego ranka obudziły ich syreny zapowiadające nalot. Wojna jeszcze się nie skończyła. Jego osobistą powojenną już tragedię najpełniej opisują dwa zdarzenia. W obawie przed wkroczeniem Rosjan jego młoda żona najpierw uciekła z Berlina, a potem popełniła samobójstwo. A gdy parę miesięcy później do Berlina przyjechała jego córka z pierwszego małżeństwa jako duńska dziennikarka, nie spotkała się z ojcem, bo bała się reakcji opinii społecznej.

Przez trzy lata Benn nie odzyskał prawa do publikacji w państwowych wydawnictwach. Jako najpierw jednoznaczny zwolennik ideologii Hitlera, a potem wyższy oficer w hitlerowskim wojsku, był nadal uznawany za wyznawcę nazizmu. Czekał cierpliwie na rehabilitację.

Wreszcie w lipcu 1948 r. napisał głośny „List Berliński”. Stwierdził tam: *Kiedy jest się przez 15 lat, jak to miało miejsce ze mną, publicznie nazywanym przez nazistów świnia, przez demokratów – duchową prostytutką, przez emigrantów renegatem, przez ludzi religijnych patologicznym nihilistą, to trudno się palić do ponownego wejścia w sferę publiczną*.

List ten wywołał falę dyskusji na temat postaw tych

intelektualistów niemieckich, którzy nie wyjechali z kraju na czas wojny. Jeden z dyskutantów – Ernst Robert Curtis napisał: *Gdy dane mi jest przeczytać jedną Pańską stronę, niknie gdzieś cała Niemiecka Literatura. Panowie współcześni tego nie czują... Dziele z Panem obrzydzenie przed niemiecką (oraz pozostałą) opinią publiczną*.

Benn nigdy nie wykazał skruchy, nie próbował wygłądać ani uzasadniać swoich poglądów z lat 30. Nawet o wydaniu na własny koszt tomiku w 100 egzemplarzach po wojnie tak napisał: *Mógłbym przedłożyć ten tomik jako dokument nielegalnej działalności antyfaszystowskiej, ale nie mam takich ambicji*.

Odwrotnie, on szukał argumentacji, np.: że ktoś rozsądny musiał zająć miejsca opuszczone przez tych ludzi kultury, którzy wyemigrowali, że nie mógł inaczej postąpić itp.

### Późny Benn

Wreszcie następuje oczekiwany przełom. W końcu 1948 r. ukazują się „Wiersze statyczne” w nakładzie 3 tys. egzemplarzy. W 1949 r. kończył Benn autobiografię „Doppelleben” („Podwójne życie”), do której włączył obszerne fragmenty przemysłów napisanych w Landsbergu. Tę podwójność sprowadza do rozbieżności między tym, co zewnętrzne, a tym, co wewnętrzne, do estetyzacji a prozaizacji, do rozbieżności między artystą a zwykłym człowiekiem. Postawa ta sięga czasów niemieckiego romantyzmu, a Benn ją konkretyzuje: *Człowiek ma swoje troski związane ze zdobywaniem pożywienia, rodziną, karierą, ma ambicje i nerwice, ale to nie jest treść życia w sensie metafizycznym*. Jego zdaniem twórcze jednostki winny umieć oderwać się od spraw doraźnych, wiedzieć dalej i więcej.

*Odmienność rozwoju  
stanowi o głębi mędrca,  
dzieci i dzieci tych dzieci  
nie niepokoją go,  
nie przenikają w niego.  
Reprezentować kierunki,  
działać,  
przyjeżdżać i odjeżdżać  
to znaki świata,  
którego jasno nie widzi. (...)  
Dalekowzroczność  
jest innym określeniem jego statyki.*

O wierszach z drugiego okresu twórczości Benna, jego tłumacz, Krzysztof Karasek napisał: *Późny Benn jest jak gdyby przelamany. Powrót do kraju dzieciństwa, wielkie uspokojenie, odbywa się po wyjątkowo trudnej walce wewnętrznej. Duża część tych wierszy, świadectw rozdarcia, to wiersze człowieka zasłuchanego w ponadczasowość, w esencję, w wieczność własnego powołania i dramatu; oplakiwanie utraty czci i młodości. Inna jednak część ukazuje Benna zasłuchanego w to, co jest niezniszczalne, co ocalało. I co jest istotą tego, co pozwala ocaleć. Wznosi się w nich Benn na wyżyny sztuki lirycznej naszego wieku*.

Recepcja tego utworu przerosła oczekiwania autora. Wyższość twórcy nad tłumem była dla wielu frapująca, ale w generalnym rozrachunku zrodziła więcej epigonów niż prawdziwych artystów.

Dla narodu okazał się ważniejszy aspekt mentalny, który uzasadniał zaniechanie refleksji nad własną przeszłością. Tak jak on sam nie podejmował żadnych prób wybielenia swoich poglądów z lat 30., tak też nie oczekiwał od innych zaprzeczenia swoich postaw. W liście do przyjaciela Maxa Niedermayera z 1949 r. wyraził to najdobitniej: *narodowy socjalizm był autentycznym i dobrze przemyślanym projektem ratowania rozchwianego Za-*

chodu. *A że później przewagę w nim uzyskały elementy kryminalne i nieodpowiednie, nie jest moją winą i nie można było przecież wtedy tego przewidzieć.*

W 1951 r. po raz pierwszy i jedyny otrzymał prestiżową nagrodę Georga Büchnera Niemieckiej Akademii Języka i Literatury w Darmstadt. W 1955 r. był bardzo poważnym kandydatem do Nagrody Nobla. Zmarł 7 lipca 1956 r. na raka kręgosłupa.

### Po polsku

Do roku śmierci Benn był w Polsce właściwie nieznanym. Pierwszy jego wiersz we własnym tłumaczeniu opublikował Witold Hulewicz w poznańskim „Zdroju”, w 1936 r. pięć jego wierszy włączył Stefan Napierski do antologii „Liryki niemieckiej”, ale obecnie te tłumaczenia bardzo źle są oceniane. Pierwszy po wojnie większy tekst poświęcony Bennowi ukazał się w paryskiej „Kulturze” w 1959 r. Szerzej o poezji Benna pisali Jan Prokop w książce „Euklides i barbarzyńcy” i Witold Wirpsza w „Grze znaczeń”. Pełniejsze omówienia poglądów znalazły się w książkach: Wilhelma Szewczyka „Literatura niemiecka XX wieku” oraz Huberta Orłowskiego w „Literaturze III Rzeszy”, ale duży wpływ na zawarte tam opinie miały poglądy polityczne. W ostatnich latach na łamach pism naukowych ukazało się kilka artykułów omawiających twórczość Benna.

Większy wybór wierszy Gottfrieda Benna w przekładzie na język polski i opracowaniu Krzysztofa Karaska ukazał się w 1982 r. w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Tłumacz przyznaje się do fascynacji postacią Benna i jego dorobkiem, czemu dał wyraz w tomie wierszy „Prywatna historia ludzkości”. *Sprawa Benny – pisał - wydała mi się jedną z centralnych dla zrozumienia pisarskich uwikłań w XX wieku.* Spośród ok. 300 wierszy napisanych przez Bennę do polskiego wyboru Karaska weszło ok. 50 wierszy z pierwszego, wczesnego okresu twórczości niemieckiego poety i tylko 20 z lat późniejszych. Wiersze tego bardzo trudnego dla translacji poety tłumaczyli także: Witold Wirpsza, Feliks Przybylak, Robert Mikulski, Jan Koprowski, Leszek Szaruga, Adam Pomorski, Ziemowit Skibiński, Jacek St. Buras, Artur Kopacki. Najważniejsze eseje, szkice i fragmenty prozy Gottfrieda Bennę w przekładzie na język polski opublikowało Wydawnictwo Poznańskie w 1998 r. w wyborze i opracowaniu Huberta Orłowskiego. Książka nosi tytuł „Po nihilizmie”. Nie ma tam jednak np. wystąpienia z marca 1933 r., w którym opowiedział się po stronie Hitlera, ponieważ polskie wydawnictwo nie uzyskało prawa do jego publikacji.

W 50-lecie śmierci „Literatura na Świecie” wydała obszerny numer (5-6/2006) poświęcony dwóm niemieckim pisarzom zmarłym w 1956 r.: właśnie Bennowi i Bertoldowi Brechtowi. Tam opublikowano po polsku spór o literacką emigrację między Klausem Mannem a Gottfriedem Bennem, także list z 24 maja 1933 r. przedrukowany z „Deutsche Allgemeine Zeitung” oraz odczytany przez radio jako list otwarty. W odbiorze powszechnym była to akceptacja hitleryzmu. Natomiast po latach w rozdziale „Cienie przeszłości” z „Podwójnego życia” Benn napisał: *Nigdy nie przestudiowałem programu partyjnego, nigdy nie byłem na żadnym zebraniu narodowych socjalistów, nigdy, ani przed, ani po 1933 r. nie prenumerowałem żadnej narodowowyzwoleńczej gazety czy czasopisma, ale oczywiście, wiedziałem, że wśród licznych punktów tego programu jest jeden zły – antysemicki. Kto jednak traktuje serio partyjne programy? Wierzyłem w autentyczną odnowę narodu niemieckiego, która pozwoliłaby wyjść poza racjonalizm, funkcjonalizm, cywilizacyjne skostnienie, która służyłaby Europie, przejęłaby jej intelektualny dorobek, jej krytyczne*

*wzorce, pozostawiając religiom i rasom – a także wykorzystując dla siebie – to, co w niej najlepsze.* Natomiast Klaus Mann w powieści „Mefisto” przedstawił Bennę jako poetę Pelza *wielce wymagającego, dość niezrozumiałego, rzucającego mroczny urok poety.*

Współczesny polski krytyk – Jerzy Łukosz określił Bennę jako *poetę wielu szczytów.* *Pisze: Benn żąda od czytelnika więcej niż to, aby podążył z nim na wyżyny. On chce, aby na tych wyżynach na niego już czekał. Wiersze i eseje strzegą dostępu do siebie tym, którzy nie chcą lub nie są w stanie podjąć wysiłku przedzierania się przez gąszcz zjawisk, meandry intelektualnych metafor, labirynty zmysłowych pojęć. Praca ta wydaje się na miarę poszukiwaczy złota!*

*Odnażenie piękna, smaku trzeba okupić przygotowaniem raczej duchowym niż erudycyjnym, większym niekiedy niż przy lekturze niejednego mędrca. Mędrzec uczy, Benn egzekwuje nauki.*

### Dzisiaj

W połowie lat 80. do Gorzowa przyjechał prof. neurologii Helmut Heintel, krewny Bennę, aby obejrzeć miejsca, w których żył jego wuj. Wrażenia złożyły się na niewielką, ale istotną dla dokumentacji tematu książeczkę pt. „Block II, Zimmer 66. Gottfried Benn in Landsberg 1943 – 1945. Eine bildliche Dokumentation” (Blok II, pok. 66. Gottfried Benn w Landsbergu 1943 – 1945. Ilustrowana dokumentacja). Znalazły się w niej widoki Landsberga i niemieckich koszar oraz krótkie cytaty najczęściej z listów Bennę odnoszące się do wskazanych miejsc. Dziś w koszarach tych znajduje się Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa.

W 2003 r., w stulecie matury we Frankfurcie, w Muzeum im. Kleista we Frankfurcie nad Odrą zorganizowano wystawę „Gottfried Benn – uczeń we Frankfurcie n. Odrą. Trzy nieznanne listy do Marii Diers 1941 - 1944”. Wystawa pokazywała związki pisarza z Nową Marchią, w tym z Landsbergiem. W artykule Roberta Piotrowskiego o tej wystawie jej organizatorzy wyrażali nadzieję, że będzie ona pokazana również w Gorzowie. Nie była. Warto wrócić do tego pomysłu.

### Gottfried Benn Rzeczywistość

*Rzeczywistość nie ma cech koniecznych  
ba, może ją uznać za mit  
kto z fluidów i fletni odwiecznych  
wywiedzie swój ludzki byt.*

*Kość, kiść bzu czy Olimpii ciało -  
malarz nie im poświęcił trud,  
tym, co w nim, wewnątrz, promieniało,  
trans bywał i girlandy nut.*

*Galernik ów, w kajdanach człowiek  
co w brzuchu łodzi tkwi, nie widział wód,  
fregat ni gwiazd - spod ciężkich powiek  
samo się snuło marzenie-cud.*

*Malował fetysz - to z obawy,  
Pietę, która cierpiała ból.  
Żartem - królewski stół do kawy,  
lecz nie pił kawy przy nim król.  
(1952)*

Tłumaczenie Artur Kopacki

## detrytus

cmentarz zapuszcza korzenie  
coraz głębiej i głębiej za ciasna  
doniczka zakorkowane ulice i  
stawy refluks podobno starych  
drzew się nie przesadza

anonimowość w kształcie krzyża  
dwa metry pod ziemią wata  
w policzkach  
sztuczne kwiaty rozłaza się  
w słońcu farba odpryskuje

cztery kołki, tasiemki jeden na  
półtora pet w trawie  
jakoś się urządzi  
dobra lokalizacja dostępność  
atrakcyjna cena organista gratis

wspólne pielenie materiału w sam  
raz na koniec i po ławka  
trawniczek spróchniałe zdrowaś  
rodzinka z obrazka...

pięciohektarowa nekroza liście  
zwijają się skwierczą detrytus -  
martwe szczątki roślinne  
i zwierzęce co innego ludzie  
- nie umieją się nazwać

## inklinacja

jaś siedzi w piaskownicy  
kroi „glizdy”  
plastikowy nożyk dobry jak  
każdy inny nóż-zabawka  
robak wije się skręca  
łyka piach

język wyjęty na  
brodę dla równowagi  
wisi w skupieniu  
majta się w lewo i  
prawo chlapie śliną

z rozdartej dżdżownicy wyłaza  
farfocle przezroczyta krew  
równie nieistotna co zbędna  
wsiaaka w rękaw

jaś wyciąga rękę po  
następną prostuje sieka  
jakby to był szczypior

utracona głowa  
regeneruje się  
odrasta

co tam „glizda”  
robaki tak mają,..

## origami

tancerka nakłada jedwabne  
baletki  
zawiazuje tasiemki  
jedna z żyłek zaplątuje się  
przypadkiem

chłopczyk siedzi na murku  
i macha nogami w świetle  
jarzeniówki błyskają ścięgna je  
loda

sportowiec wygiął się  
w powietrzu pięć  
centymetrów nad  
tyczką spreparowano  
czas

matka karmi piersią noworodka  
dziecko wciąż je a nie  
przybiera na wadze  
kobieta z niepokojem tuli  
niemowlę  
patrzy  
- oczy pozostały ludzkie

facet w żółtym kasku pcha  
taczkę z gruzem z górki  
a mimo to jakby w miejscu  
napiera z całej siły taczka ani  
drgnie - byle do fajrantu

dziewczynka ubrana  
w strój komunijny

składa rączki  
klęka  
oto jest dzień....  
jak każdy  
następny

mężczyźni grają  
w karty  
na stole brandy trąci  
formaliną  
wreszcie jeden nie  
wytrzymuje  
rzuca talię  
odchodzi  
mietek znowu  
wyjął asa z żołądka...

owładnięci rządzą  
recyklingu eviva  
Tarte!



# Opisz dzień

Piąty tom wierszy Jerzego Gąsiorka (Gąsiora) jest bardzo podobny do poprzednich. Autor pozostaje wierny koncepcji twórczości jako notowania rozlicznych myśli, jakie go nachodzą we dnie i w nocy. Swoje twórcze credo zapisał teraz w wierszu „Jak zostać poetą”:

*Weź kartkę papieru  
(niekoniecznie białą)  
weź pióro długopis  
może być zwykły ołówek  
(jeśli potrafisz uruchom komputer)  
i opisz np. dzień  
i co się w nim działo  
prawdziwie od serca  
dobrze by było  
zachwycić się czymś szczerze  
albo oburzyć przerazić  
jeśli uda ci się  
zwrócić uwagę na coś  
czego nikt nie zauważył  
to coś może być poezją  
tak mi się wydaje*

Zabawmy się w sprawdzenie, jak autor realizuje tę teorię w swoich wierszach. Po pierwsze więc *opisz dzień (...) prawdziwie od serca*. Co prawda opisywanie jest domeną prozaików, ale Gąsiorkowi bardziej niż o rejestr czynności chodzi o przedstawienie refleksji zrodzonych w ciągu tego dnia, a tu już wkraczamy w sferę poezji. Przykładów w tomie wiele, bo prawie każdy wiersz Gąsiorka niesie spostrzeżenia, przemyślenia, refleksje nie tylko to zwyczajne, codzienne, ale nawet dotykające eschatologii. Dalej: *dobrze by było zachwycić się czymś szczerze*. Podobnie jak w poprzednich tomach i w tym jest zachwyt dla przyrody, dla sztuki, ale nie ta sfera tu dominuje. Po raz pierwszy Gąsiorka zachwyca rodzina. Najpierw ta własna, wprost drzewo genealogiczne („Tu Światli się rodzili”) z listą przodków o wyraźnych, godnych charakterach, potem ta zaprzyjaźniona, w której *Marta to ciepło/ ciepło to miłość/ miłość to szczęście* („Toporowa”), wreszcie najbardziej smutna, bo *dodać nie potrafiłem/ jeden plus jeden/ aby dwoje było/ naprawdę szczęśliwych*. Kolejny warunek bycia poetą to konieczność, by *oburzyć przerazić*. Świadom tego, Gąsiorek nie jest w swoich oburzeniach i przerażeniach agresywny, a formuluje je jako pytania retoryczne, jak np. w wierszach „Dlaczego nadal” czy „A ja wciąż bez odpowiedzi”. Ten rodzaj refleksji bliski jest publicystyce, pewnie więc dlatego niektóre wiersze Gąsiorka grzeszą nadmiarem oczywistości lub wnioskami, które prowadzą do nikąd („Jest taki kraj”).

Wreszcie warunek najważniejszy: *jeśli uda ci się zwrócić uwagę na coś czego nikt nie zauważył, to coś może być poezją*. Znalezienie „tego czegoś” - według Gąsiorka - wymaga skonfrontowania jego poezji z dorobkiem całej ludzkości, a to po prostu niemożliwe. Każdy czytelnik musi sam dokonać oceny, sam odpowiedzieć na pytanie, co jemu dała lektura. Mnie pobudziła do zastanowienia nad kilkoma procesami lub zjawiskami społecznymi, w tym przede wszystkim nad bezradnością jednostki.

I wreszcie asekuracyjne stwierdzenie: *tak mi się wydaje*. Ważne, bo poza wymienionymi warunkami pozostaje cała sfera formy. Gąsiorek wartość poezji mierzy intelektem, a nie walorami artystycznymi wierszy. Nie buduje zawiłych metafor, nie szuka kunsztownej formy, daleki jest od wszelkich manipulacji w materii słowa. A warto podkreślić, że przez wiele lat Jerzy Gąsiorek realizował się przede wszystkim jako plastyk niezwykle wrażliwy na kompozycję, kolor, materiał, fakturę dzieła i inne tego typu walory formalne. Ale pewnie była to dla niego za wąska paleta, aby wyrazić rozliczne myśli. Sięgnął więc po słowo z jego walorem podstawowym, bo znaczeniowym. I ten mu wystarcza. Nie zajmuje się jego odcieniami.

Jerzy Gąsiorek długo nie chciał zaakceptować siebie jako poety. Najpierw był niezmiernie zdziwiony złożoną mu propozycją kandydowania do Związku Literatów Polskich, a potem faktem, że Komisja Kwalifikacyjna ZLP włączyła go od razu do grona członków, bez okresu kandydowania. To zdziwienie czytam z tytułu tomu „Ja, profan”.

Piąty tom wierszy Jerzego Gąsiorka jest taki sam jak poprzednie w wyglądzie zewnętrznym, układzie graficznym, liczbie stron. Ma te same zalety (o czym już było) i te same wady (o czym za chwilę), co wcześniejsze. Przyznam jednak, że wady powtórzone po raz piąty przeistaczają się w zaletę, bo świadczą o świadomym i konsekwentnym autorskim ujęciu. A ósmy lub dziewiąty tom, utrzymany w tej samej konwencji, przyjmuję jako Gąsiorkowy patent na sposób tworzenia.

Teraz jednak o wadach. Kolejność wierszy, jeśli nie uwzględnia się czasu ich powstawania, można uznać za absolutnie przypadkową, tak jak przypadkowe były okoliczności, które zrodziły zawarte w nich myśli. Metoda ta pozwala w każdym miejscu otworzyć tom i czytać bez szkody dla utworów poprzednich lub następnych. To zaleta, ale widzę także wady takiej kompozycji: wymieszanie tematów ważnych z mniej ważnymi, brak gradacji i niuansów w jednym obszarze tematycznym, zbędne nawroty do tych samych pomysłów. Taka kompozycja sugeruje, że autor oddaje nam do czytania swoje notatki, z którymi nie bardzo wie, co dalej zrobić. Moim zdaniem mógłby trochę więcej skreślać albo pozwolić na dyskusję o swoich wierszach przed ich opublikowaniem, a tym samym zyskać dystans. Z drugiej jednak strony w pamiętniku, nawet tylko pamiętniku myśli, najważniejsza jest emocjonalna prawda, której tu bardzo dużo. Znow więc wada przeistacza się w zaletę.

W jednym z ostatnich wierszy Jerzy Gąsiorek wyraża radość, że jest już na emeryturze, nie ma obowiązków i może np. wsiąść na rower, by ruszyć w *tour* dookoła Morza Czarnego. Wśród czynności, które chętnie wykonuje, na pierwszym miejscu postawił rzeźbienie i malowanie. Szkoda, że nie wymienia tu dalszego pisania wierszy. A może to już dla niego oczywistość?

Krystyna Kamińska

## Jerzy Gąsiorek

\*\*\*

W mojej wieży  
fruwają anioły  
mimo że z drewna i blachy  
wielkie poważne i figlarne małe  
z dzwonekami tę radość zwiastują  
inne z kluczami od sekretów  
wreszcie z sercami  
to te zakochanych  
jeden ma skrzydło pocerowane  
tamten z kolei zgubił aureole  
wszystkie siermiężne zwyczajne

lubię je z nimi mi raźniej  
oby mnie strzegły od złego

\*\*\*

Moje życie  
jedno z milionów  
zapewne do innych podobne  
a jednak inne niepowtarzalne  
ani nadzwyczajne ani beznadziejne  
takie je lubię i na takie się godzę  
i jest tylko moje!

c.d. ze str. 1.

komu to potrzebne? Ale to już taka moja obsesja. Wszystko, co nam dane, powinno się jednak apoteozować.

**\* Naprawdę?**

– Kiedyś byłem idealistą i apoteozowałem kobiety. Potem mi trochę przeszło. Ale przyrodę powinno się zawsze apoteozować. Nad Morzem Czarnym zachwycałem się kamyczkami, bo dla mnie zwykły kamień jest piękny w fakturze, kolorze, kształcie. Podobne doznania miałem, jadąc przez wielkie góry w Turcji. Aż dech zapiera. Więc wszystko, co nam dane, powinno się apoteozować.

**\* Napisze pan coś o tym egzotycznym pięknie?**

– W trakcie podróży robiłem notatki, ale może tych wrażeń na razie jest za dużo i potrzebny jest dystans. W czasie podróży, jak się nocą patrzyło w niebo albo mijało formy skał o niesamowitych kolorach, to były prawie metafizyczne przeżycia. Z czasem jednak zaczyna brakować bocianich gniazd. Widziałem je jeszcze tylko w Armenii. Nie ma śpiewu ptaków. Tam nawet nad morzem mewy można policzyć na palcach. Lubię być za granicą, ale w takich chwilach myślę, że Polska jest najciekawsza. Prawdopodobnie napiszę coś na zasadzie porównania z tą najpiękniejszą Polską.

**\* Gdy mówię „Jerzy Gąsiorek”, myślę „wieża w Santoku”. To miejsce jest dla pana najpiękniejsze?**

– Nie ukrywam, że jest szczególnie, wyjątkowe i że mnie inspirowało. Santok ma wiele walorów, których brak innym miastom. We wszystkich tomikach jest mnóstwo wierszy o tym miejscu, natomiast o Gorzowie, jeden.

**\* Dlaczego?**

– To dla mnie przykre, ale i symptomatyczne, i szczerze. Nie umiem teraz zachwycać się Gorzowem, choć w latach 60. naprawdę mi się podobał. Gdy wróciłem

## Jerzy Gąsiorek

### Wiersz o dniu prozaicznym

Wstałem bez euforii  
bo chmury i śnieg na dworze  
w łazience naprzeciw mnie  
facet o zmęczonej twarzy  
miniaturowy płomień kuchenki  
nie mogłem się doczekać kawy  
w skrzynce listowej kolejny monit  
w pliku ulotek reklamowych  
samochód z trudem zapalił  
bo stał na mrozie  
na poczcie uściłem opłaty  
za ponad trzy stówy  
sporo... – do następnej wypłaty  
całe dwa tygodnie  
w ciuchlandzie takie ładne spodnie  
niestety za małe  
przed sklepem kolega  
naciągnął mnie na kolejną stówkę  
do tego ząb zaczął mnie boleć  
i po raz kolejny zawiesił się komputer  
wieczorem w wiadomościach  
prawdziwe niusy-kurioza  
poszukiwany senator Stokłosa  
premier z ręką na temblaku  
sexafery ciąg dalszy...  
na szczęście po dzienniku  
film Barei – śmiałem się do rozpuku  
w radiu Zachód z cyklu Goodbye PRL  
reportaż podobny w wymowie  
(wtedy nie było nam do śmiechu)

w sumie w pogodnym zasnąłem nastroju  
bo w onej prozie dnia codziennego  
tak wiele swoistej poezji

### Życie

to nieustanny preformance  
inspirowało przeraża  
wprawia w zakłopotanie  
rozśmiesza często ból sprawia  
napenia refleksjami  
i wciąż zachwyca.

\*\*\*

To pewne  
nie spóźnisz się  
na swoją śmierć  
tak jak nie spóźniłeś się  
na swoje urodziny  
Bóg jest punktualny  
aż do przesady

z wyprawy rowerowej, usłyszałem: A czytałeś w „Wielkim Formacie” o największych architektonicznych bublach? Nie można na siłę głaskać i zachwycać się Gorzowem, skoro jest, jaki jest. Ja niemalże fizycznie cierpię, gdy widzę taką dominantę. Ktoś powiedział, że jej dół wygląda jakby spuszczone powietrze z opery w Sydney, a góra – jak wieża Eiffla po wybuchu bomby atomowej. Myślę, że to jest trafne. Dla mnie takie spektakularne obiekty są nie do przyjęcia. Gdy uczyłem historii architektury, mówiłem młodzieży o pięknie formy, kompozycji. Pokazywałem katedrę, mury obronne i Spichlerz. Naprawdę, chciałbym pisać o Gorzowie, ale gdyby znikła ta zewnętrzna otoczka.

**\* Nie uważa się pan trochę za „profana współczesności”?**

– Ja do tego tak nie podchodzę. Współczesne trendy wcale mi nie przeszkadzają. Jestem jak najbardziej za postępem. Chodzi o poszanowanie przyrody, świata. Trzeba pamiętać, że w naszej cywilizacji jesteśmy mali. A są ludy, szczepy, które dostrzegają zależność od natury i ją szanują.

**\* Szanują „(...) słońce i piasek, brzozy przy płocie, sosnowy las tuż za nim (...)”? Tak pisze pan o miejscu urodzenia. Ono kształtuje dalsze życie człowieka?**

– Tak. W Granowcu mieszkałem do szóstego roku życia. Potem było Sławno, które też miło wspominałem. W wierszach wracam do dzieciństwa, bo to jeden z najpiękniejszych okresów w moim życiu, choć niekiedy trochę chmurny i ubogi. Zawsze się wraca do czasów beztrudności, gdy wiele spraw rozwiązywano za nas rodzice. Teraz, kiedy tam jeżdżę na ich groby, dostrzegam, że wieś stała się nowobogacka. A Granowiec z dzieciństwa był autentyczny.

**\* Dziękuję.**

Małgorzata Dobrowolska

## Przedmioty żyją

*...dlaczego nie miałbym całkiem arbitralnie rozpocząć od wykazania (...), że na temat byle błahostki nie tylko nie powiedziano jeszcze wszystkiego, ale niemal wszystko jest jeszcze do powiedzenia.*

Francis Ponge: „Otoczak. Introdukcja”

Przedmiot, obiekt, eksponat, egzemplarz, rekwizyt, rzecz – to temat przewodni najnowszego tomu wierszy Joanny Ziemińskiej-Kurek „Miejskie wiersze o przedmiotach”. W świecie poezji nie jest to zjawisko niezwykle, gdyż wierszy o przedmiotach napisano już wiele. Ta predylekcja do motywu rekwizytu wypływa z mądrość poetyckiej, owej pierwszej mądrości pogaństwa, która musiała się rozpocząć od metafizyki, jednak nie od rozumowanej i abstrakcyjnej jak dzisiejsza metafizyka erudytów, ale od metafizyki opartej na uczuciu i wyobraźni. Taka bowiem była zapewne metafizyka owych ludzi pierwotnych, całkowicie niezdolnych do rozumowania, obdarzonych ogromną zmysłowością i bogatą wyobraźnią (Gianbattista Vico „Nauka Nowa”, par. 375, s. 167. za: Michał Głowiński „Zaświat przedstawiony”), gdzie przedmiot był najbliższym towarzyszem człowieka.

O tych towarzyszach pisze właśnie Ziemińska. Do swojego życia powołuje szklanki, szkło powiększające, franki, klamki, drzwi, schody, stoły, serwetki, talerzyki. Kontemplując naturę przedmiotów, pisze o łączących człowieka z nimi właściwościach. Celem Ziemińskiej jest w równym stopniu uświadomienie sobie takich aspektów istnienia rzeczy, które nie zostały dotąd zwerbalizowane, odkrycie potrzeby ekspresji drzemiącej we wnętrzu rzeczy, jak i doznanie przyjemności płynącej z tego poznania. Proponuje czytelnikowi „mówienie o przedmiotach jakby to one najważniejsze czekały na ten lament”. Obierając najskromniejsze dotąd przedmioty za obiekt kontemplacji, poetka dokonuje przemiany nijakości w wartość, ukazując, w jak istotny sposób doświadczanie wpływa na kondycję ludzkiego bycia w świecie. W stworzonym przez nią uniwersum rzeczy zrehabilitowane zostają głównie poprzez konfrontację przedmiotowości z ludzkością. Przedmioty żyją tak jak ich dalecy lub bliscy właściciele – krzesła i bieliźniarki „zatrzymały pamięć o ręce która codziennie odchyłała firankę”. Rzeczy żyją jak ludzie – mają swoje piekło, jakim jest „odejście człowieka albo jego przyście”. One odczuwają, odczuwają odejście człowieka, czyli pozostawienie ich w samotności z ewentualnością zmiany właściciela. Tak naprawdę więc przedmiotom dzieje się to samo, co ich posiadaczom. To rodzaj przeniesienia losu, odnalezienia życia w bycie martwym, ale swoicie żywym poprzez ludzi, do których przedmioty należały, z którymi współistniały.

Ziemińska osadza rekwizyty w realiach danego otoczenia. Zegar jest z miejscowości Słupce powiat nowogrodzki; firanka jest odnaleziona na zdjęciu przywiezionym przez starego Niemca, podobnie jak kamienica z poniemieckiej fotografii. Są to najzupełniej miejskie przedmioty i miejskie o nich wiersze. Tomik o skromnej szacie graficznej i skromnej liczbie wierszy – czyta się szybko i dobrze. Pojawia się nawet niedosyt.

Beata Patrycja Klary

## Z „Miejskich wierszy o przedmiotach”

### III

Jeśli istnieje przechowalnia wspomnień czekająca na tych, którzy odeszli stąd – czyli od miejsca, w którym zatrzymał się na chwilę bezstronny obserwator

jeśli ta sama struna światła  
biegnie ku talii wydeptanych schodów

jeśli trwać mogą przedmioty  
bezbronnie i łatwopalne

co to znaczy, nie wiem

szukam odpowiedzi  
stojąc w otwartych drzwiach.

### V

Co przedmioty czują,  
kiedy odchodzimy  
torebka na wieszaku  
list na biurku  
buty i koszule  
zegarki i wszystko inne

czy łatwa jest zgoda  
na przejście w cudze ręce  
a potem ugłaskanie  
oswajanie –  
ten wstępny etap  
czułości i bliskości.

### VII

Mówię o przedmiotach  
jakby to one najważniejsze  
czekały na ten lament  
tren ku pamięci  
kukułki ze spalonego zegara  
krzesła i rzeźbionej bieliźniarki  
jednak to one  
zatrzymały pamięć  
o ręce, która codziennie  
odchyłała firankę  
i podlewała  
czerwoną pelargonię.

### X

Można próbować  
udawać tamte ręce  
budzić do śniadania piec w kuchni  
wygarniać śnieg spod bramy

dopiero czułość  
uwalnia od zła  
po jednej i po drugiej stronie.

Joanna Ziemińska-Kurek

Inne fragmenty tego poematu drukowaliśmy  
w numerze 1(13) 2005 Pegaza Lubuskiego





# Piotr Michałowski



Poeta, literaturoznawca, prof. dr hab. Uniwersytetu Szczecińskiego, redaktor szczecińskiego dwumiesięcznika kulturalnego „Pogranicze”,

W poezji interesuje mnie gra między utopią „czystej ekspresji” a uwikłaniem intertekstualnym, czyli między słowem własnym a echem głosów cudzych, które zwodzą wyobraźnię na rozległe pola tradycji literackiej – zwiedzanej w różnych rejestrach i ze zmiennym dystansem. Z jednej strony każdy wiersz chce być niezależnym odkryciem, z drugiej nigdy nie powstaje w tekstowej próżni na kartce nie zapisanej i zawsze jest palimpsestem, gdyż rodzi się z oddźwięków utworów znanych, przeczytanych i zapamiętanych. Można te echa wygłaszać w sobie lub ignorować, dumnie manifestując niepodległość kreowanego sensu. Można też skapitulować, uznając, że „wszystko już było” i błędzić w bibliotecznym labiryncie cytatów i parafraz. To co wybieram, jest próbą konfrontacji tych biegunowych postaw: optymistycznej utopii awangardy z dystopią dekadentckiego, choć i ludycznego, postmodernizmu.

Poezję rozumiem jako dialog formy z amorfią. Powrót do wiersza metrycznego nie musi być ani kontynuacją dawnego wzorca, ani epigonizmem, ani stylizacją, choć w jakimś stopniu reprezentuje każdą z tych postaw. Wydaje się jednak czymś jeszcze. Ciekawych doświadczeń dostarcza zwłaszcza sonet włoski i oktawa, formy stroficzne, które realizowane bez żadnych ułatwień, paradoksalnie „wymuszają” i zarazem wyzwalają niespodziewane odkrycia poprzez alchemiczne kombinacje słów, dobieranych w dużym stopniu według brzmień, ale z uprzywilejowaniem tych, które eksplodują znaczeniami. Tymczasem więc przyjmuję utopię jakiejś poezji „klasyczno-automatycznej”, opartej na wierze, iż repertuar rymów oferowany przez język otwiera nieograniczone przestrzenie sensu.

Piotr Michałowski

## Student z ambicją naukową i twórczą

Piotr Michałowski – rocznik 55 rodem z Bydgoszczy, już w czasie studiów polonistycznych na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu zaczął publikować w prasie studenckiej, a w latach 1980-1981 także w studenckim „drugim obiegu”. Aktywnie uczestniczył w pracach Koła Polonistów oraz Niezależnego Zrzeszenia Studentów, którego był współzałożycielem. W tych kręgach ukazał się w 1981 r. zbiór *W klatce wolności. Almanach poezji strajkowej (1981)*, którego był współautorem i współredaktorem. Był także dwukrotnym laureatem konkursów na referat studencki: wyróżnienie za pracę *Metody obrazowania w liryce na przykładzie „Haiku-images” Stanisława Grochowiaka oraz I nagroda za Czas w powieści Gabriela Garcii Marqueza „Sto lat samotności”* (napisany jako referat zaliczeniowy na zajęciach z teorii literatury, prowadzonych przez Stanisława Barańczaka). Podjęte w tych rozprawach tematy miały się potem rozwinąć w dwa nurty jego zainteresowań literaturoznawczych: miniaturą poetycką i prozą latynoamerykańską. Jako poeta i recenzent teatralny scen studenckich współpracował z krakowskim dwutygodnikiem „Student” oraz jako krytyk literacki z poznańskim miesięcznikiem „Nurt”. Stan wojenny spowodował przerwanie tej współpracy. Nową formą działalności studenckiego życia literackiego Piotra stały się wtedy nieformalne seminaria, na których w gronie studencko-absolwentckim opracowywano i czytano referaty (głównie o poezji) i dyskutowano o literaturze, historii i polityce.

W 1982 roku Piotr Michałowski ukończył studia obroną pracy magisterskiej pt. *Spacjologiczna interpretacja „Psalmów” Tadeusza Nowaka*, napisanej pod kierunkiem doc. dr. hab. Edwarda Balcerzana.

Przeprawką do Szczecina otworzyła drugi, dość trudny okres jego aktywności literackiej i naukowej, którą musiał pogodzić z założeniem rodziny i organizacją miejsca dalszej egzystencji. Trzykrotnie odrzucono mu podanie o pracę na szczecińskiej WSP (później US) ze

względem na niezależne poglądy polityczne. Podjął więc tymczasowo pracę w Bibliotece Głównej WSP, nie przypuszczając, że pozostanie tam przez lat jedenaście. Zmiana profesji i ograniczone perspektywy awansu skłoniły go do ukończenia kursów specjalistycznych z zakresu informacji naukowej oraz rocznego zaocznego Podyplomowego Studium Bibliotekoznawstwa na Uniwersytecie Wrocławskim.

W tym okresie starał się jednak rozwijać swoje twórcze zainteresowania. Nawiązał m.in. kontakty ze środowiskiem teatrów alternatywnych Szczecina, gdzie dokonał dwóch adaptacji scenicznych, z których jedną, opartą na tekstach Ryszarda Krynickiego i Zbigniewa Herberta pt. *Prześlanie pana Cogito* wystawił poza cenzurą. Równocześnie rozpoczyna współpracę z ogólnopolskimi periodykami, publikując w nich eseje oraz recenzje literackie i teatralne m.in. w 1983 r. z „Literaturą na Świecie”, w 1984 r. z „Odrą”, w 1985 r. z „Nowymi Książkami” – rozszerzając niemal co roku zestaw czasopism i skalę działalności krytycznej. W 1989 roku zmieniona sytuacja polityczna otworzyła Piotrowi perspektywę zatrudnienia na US, ale przed ponownym staraniem o etat postanowił się doktoryzować. Jesienią 1990 r. rozpoczął pracę nad rozprawą doktorską *Współczesne miniatury poetyckie*, przygotowywaną pod kierunkiem prof. dr. hab. Edwarda Balcerzana; otwarcie przewodu na UAM w Poznaniu nastąpiło w grudniu 1992 r., a obrona - 29 kwietnia roku następnego. Ponowna próba podjęcia pracy na uczelni powiodła się. Z początkiem roku akademickiego 1993/1994 został zatrudniony w Instytucie Filologii Polskiej US na stanowisku adiunkta w kierowanym przez prof. dr. hab. Erazma Kuźmę Zakładzie Teorii Literatury. Tam pracuje do dziś. W 2002 roku po kolokwium habilitacyjnym w Instytucie Badań Literackich PAN w Warszawie uzyskał stopień doktora habilitowanego na podstawie książki *Granice poezji i poezja bez granic* (Szczecin 2001). Od roku akademickiego 2003/2004 Piotr Michałowski kieruje założoną przy Instytucie Filologii Polskiej Wszechnicą Polonistyczną/

### Eksploracja nowych obszarów

Coraz trudniej oddzielić hobby od życia zawodowego Piotra, wobec którego to pierwsze jest harmonijnym dopełnieniem: lektura, teatr, film. Niepowiązane z profesją pozostaje tylko zainteresowanie muzyką, zwłaszcza poważną, choć ten wyróżnik sam Piotr uważa za niepoważny, bo preferuje w niej nurty trudne do pogodzenia: Wagnera i muzykę orientalną. Życie naukowe i dydaktyczne próbuje łączyć z działalnością literacką i popularyzatorską, a także społeczną. Parę zdań dotyczących tych obszarów aktywności będzie istotnym uzupełnieniem portretu.

W 1988 roku stał się współzałożycielem odradzającego się NSZZ „Solidarność” na Uniwersytecie Szczecińskim; w latach 1989-1991 – członkiem związkowej Komisji Uczelnianej, w latach 1989-1995 – Zarządu Regionu Pomorza Zachodniego. Zasiadał także w Senacie US, reprezentując tam grupę „pracowników nie będących nauczycielami akademickimi” i brał udział w pracach senackiej komisji ds. wydawniczych.

Uczestniczy w życiu literackim Szczecina. Jest autorem kilku książek poetyckich: *Poemat w czerwieni* (Poznań 1984, w drugim obiegu), *Powidok powietrza* (1994), *Li(me)ryczny plan Szczecina* (1998), *Za czarnym wielokropkiem...* (1999) i ostatnia *Rytmy – wiersze na czas* (2007). Publikował też wiersze w antologiach i czasopiśmie. Kilka tekstów poetyckich zostało przetłumaczonych na język niemiecki i angielski. Od 1992 roku należy do SPP – współorganizował jego szczeciński Oddział, którego w kadencji 1999-2002 był prezesem. Od 2004 roku jest prezesem Oddziału Szczecińskiego Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza. Odbywa spotkania autorskie i prelekcje w szczecińskich liceach, prowadzi „Czwartki literackie” w Klubie Związków Twórczych „13 Muz”, na które zaprasza pisarzy i literaturoznawców głównie spoza Szczecina; współpracuje z miejscową rozgłośnią Polskiego Radia i Ośrodkiem TVP; organizuje wymianę międzyregionalną z zagranicą (m.in. Berlinem i Lubeką).

### Pan redaktor

W 1994 r. Piotr stał się współzałożycielem i współredaktorem szczecińskiego dwumiesięcznika (początkowo kwartalnika) kulturalnego „Pogranicze”. W 1999 roku zainicjował współpracę tego pisma z Galerią Piastów 75, przygotowując wprowadzenia do organizowanych w niej wieczorów autorskich poetów polskich z Niemiec i Danii. Uczestniczy w życiu teatralnym; co roku zasiada w komisji plebiscytu przyznającego nagrody za najlepsze przedstawienie sezonu oraz indywidualne dokonania artystyczne. Na spektaklach Ogólnopolskiego Przeglądu Teatrów Małych Form „Kontrapunkt” można nas zobaczyć na sąsiednich krzesłach. Albo On albo ja zajmujemy dla drugiego dogodnie miejsce na widowni...

### Ale jednak badacz słowa

Spośród zagadnień teoretycznych zajmował się m.in. genologią, teorią miniatury poetyckiej oraz poszczególnymi krótkimi formami (aforyzmem, haiku i fraszka), ale także innymi gatunkami (np. sonetem i poematem), ponadto środkami stylistycznymi (m.in. hiperbolą, enumeracją), wreszcie – problematyką rozmaitych granic w poezji nowoczesnej (m.in. samopoznania, wyrażalności, spójności tekstu) oraz metodami ich przekraczania. Zagadnienia te łączą się z jego pracami historycznoliterackimi, analizującymi poszczególne poetyki autorskie (zwłaszcza powojennej części XX w. i początku XXI), m.in.: Juliana Przybosia, Juliana Tuwima i Wisławy Szymborskiej. Ponadto podjął się nowego opracowania edytorskiego poematu *Kwiaty polskie* ze wstępem naukowym, w serii Biblioteka Polska Wydawnictwa „Universitas” (Kraków 2004). Na marginesie prac badawczych (a także niezależnie od nich) niekiedy pisuje pastisze wierszy: Tuwima, Przybosia, Szymborskiej, Słowackiego, Mickiewicza, Norwida, Leśmiana. W latach 80. zajmował się interpretacjami prozy latynoamerykańskiej,

do których teraz powraca, wzbogacając je nowymi aspektami teoretycznymi: egzotyizmu, etnologii, etnogenezy.

### Dydaktyk

Piotr Michałowski prowadzi zajęcia na studiach dziennych filologii polskiej (w mniejszym stopniu także zaocznych) ze studentami różnych lat: konwersatoria z: poetyki (I i II rok), z teorii literatury (III rok), analizy i interpretacji dzieła literackiego, cykl wykładów kursowych dla I roku Wprowadzenie do nauki o literaturze. Ponadto prowadził zaproponowane przez siebie cztery cykle wykładów monograficznych: Współczesne miniatury poetyckie, Poezja Wisławy Szymborskiej, Poetyki poezji nowoczesnej oraz Etnogeneza literatury. Parokrotnie prowadził także fakultatywne zajęcia warsztatowe: Formy krytyki literackiej i teatralnej oraz Warsztaty literackie. Na roku IV i V prowadzi także seminaria magisterskie w zakresie teorii literatury i literatury współczesnej oraz indywidualne konsultacje dla doktorantów i wszystkich, którzy chcieliby pod jego opieką pisać rozprawę doktorską. Zajęcia prowadzone w ramach przedmiotów fakultatywnych: Warsztatów literackich lub Form krytyki literackiej koncentrują się głównie na ćwiczeniach stylistycznych i mają nauczyć wypowiedzi pisemnej prozą w takich aspektach jak: konstruowanie narracji, mechanizmy adaptacji dramatycznej, elementy stylizacji. Ich celem jest zatem wykształcenie i doskonalenie pewnych umiejętności technicznych i choć pośrednio może to pobudzać inwencję i rozbudzać wyobraźnię, ale – co zastrzega mistrz - nie gwarantuje uczestnikom nagrody Nobla.

oprac. na podst. autobiografii P.M. Ireneusz K. Szmidt

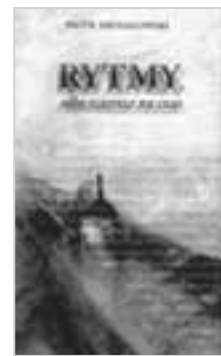
*Wiersze te - jak sugerują daty - powstawały głównie na przełomie tysiącleci i w dość długim okresie. Równolegle pisałem inne teksty, ale z myślą już o innej książce, gdyż w moim zamierzeniu „Rytmy” miały być swego rodzaju manifestem wiersza metrycznego (a więc sonet i oktawa w poemacie dygresyjnym) oraz graficzno-metrycznego i myślę, że jakąś całość (złożoną z 4 części jak symfonia i kilku intermediiów) udało mi się zbudować. Inne teksty, starsze i nowsze, które tu nie pasowały, chciałbym wydać za rok, może dwa lata - jeśli dojrzeje pomysł na nową, niegorszą od tej, całość.*

*Tematyka kolejowa fascynowała mnie od dawna, gdyż podsuwa cały świat metafor życia i tajemnice czasoprzestrzeni. Od strony literaturoznawczej od wielu lat motyw kolejowy bada profesor Wojciech Tomasiak z Bydgoszczy, któremu bardzo podobał się powstający cykl „Koleje czasu”, co zachęciło mnie do kontynuacji tego poetyckiego przedsięwzięcia.*

*Sonet odsyła do tradycji gatunku (nie tylko z aluzją tytułu do Sępa-Szarzyńskiego), a określenie „wiersze na czas” wskazuje na aktualność. Najważniejsze jest skrzyżowanie obu tych tendencji. Ale „na czas” to również inna wskazówka - „na czas” można pisać tak, jak się komponuje muzykę na fortepian czy na skrzypce. Wiersz metryczny i rymowany jest właśnie „na czas” i brzmienie, co oczywiście nie likwiduje wartości obrazowej, ale nawet ją swoiście podnosi, a zasugerowane okładką skojarzenie z malarstwem Turnera nie jest asocjacją jedyną.*

*Czas brzmienia słów zmagają się z czasem przedstawionym. Jak zabrzmie w czasie czytelnika - to już czas pokaże.*

Piotr Michałowski



### Piotr Michałowski jest autorem książek poetyckich:

*Poemat w czerwieni* (Poznań 1984, w drugim obiegu),  
*Powidok powietrza* (Szczecin 1994),  
*Li(me)ryczny plan Szczecina* (Szczecin 1998),  
*Za czarnym wielokropkiem...* (Szczecin 1999),  
*Rytmy albo wiersze na czas* (Bydgoszcz 2007)

### Najważniejsze jego książki naukowe:

*Granice poezji i poezja bez granic*, Szczecin: Wydawnictwo Naukowe US, 2003,  
*Miniatura poetycka*, Szczecin: Wydawnictwo Naukowe US, 2005  
*Głosem prawie cudzym. (Z poezji okółkonferencyjnej)*, Kraków: Wydaw. Krytyki Artystycznej „Miniatura”, 2004  
oraz ok. 200 artykułów i recenzji literackich.

## Koleje czasu

### 1. Przejazd

TU miasto się rozrzedza, TAM gęstnieje knieja,  
Gdzie już znajomym echem nie mogę się oprzeć:  
Wzrok nurza się w zieloność i wędruje poprzez  
Głębię ciemnego lasu – ja, a ze mną Nie-ja.

TU pierwsze w piachu szyszki, TAM – płaska  
nadzieja  
Na dalszy ciąg historii... Lecz tę nagle w poprzek  
Przerywa krzyk szlabanów w bieli i cynobrze:  
Dwubłysk szyn – dwa równania – kolejowy  
przejazd.

Stąd kilometry drogi wypada odliczać,  
Chociaż nie z tej palety to jarmarczne dzieło.  
Dogmat ziemi w migotach nieba pogranicza,

Gdzie nic się nie skończyło i nic nie zaczęło,  
Nie dzieli więc niczego i nie ogranicza.  
– Zbyt jaskrawy na antrakcie, zbyt cienki na  
przełom.

### 2. Tor

Zwężona równoległość, klin wbity w horyzont.  
Trójkąt, co w nieskończoność odracza się w oku,  
Bo ściga swój wierzchołek a szyny wciąż wloką  
Podwójny zachód słońca. I już słońca trzy są,

A żadne zajęcie nie może, dopóki dewiza  
Kierunek pozostanie. Na mocy wyroku  
Wciąż TU się unieważnia, a urasta DOKĄD,

Tandetna alegorio, geometrio toru,  
Streściłaś całą ziemię do równoleżników!  
A teraz zstąp z podkładów w przypadek kolorów,

Wejdz w chimeryczność chwastów i kształty  
kamyków,  
W poboczny odbłask ważki, w nieważkość pozorów,  
By TŁEM z rozproszeń ŚWIATŁA skupić ŚWIAT  
w zaniku.

### 3. Dworzec

Ten dom nie zaśnie nigdy. Nie śpi z nazwą  
„dworzec”  
Ciągły STAN wyjątkowy – remont dróg wyboru.  
I żadna z nich do Rzymu. Właśnie tu jest Forum,

Lecz wolny rynek fabuł między baśnie włożę.  
Centralna dystrybucja cudownych rozmrożeń:  
Przypomnień i amnezji, uzdrowień i chorób.  
Świetlista poczekalnia – fabryką pozorów,  
Że w krystalicznym STANIE kłębi się BYĆ MOŻE.

Jedno słowo rozerwie sekundę w holocen.  
Poruszy megafonem obrzęd przemienienia:  
Przerwane sny przemieści w tysiąc pierwsze noce,

Szyldy bez miejscowości – w miasta bez imienia,  
Skupioną masę STANU – w promienisty proces  
A czas niedokonany – w czwarty STAN skupienia.

### 4. Rozkład

Mapa złożona w słowa, które mogą powieść  
I wszędzie, i donikąd – niby listy gończe:  
Spis minut ściga miasta, a nim czytać skończę,  
ROZKŁAD pytań możliwych ZŁOŻY się  
w odpowiedź.

Tymczasem zwiedzam jeszcze potencjalną  
powieść,  
Co w ciasnym kręgu godzin rozrasta się kłaczem  
I dziełem jest otwartym na wybór połączeń,  
Lecz tylko jedna podróż może się w niej powieść.

Przestrzeń w czas pochowano, a znów czas  
– w gablocie  
Bilans – rym PRZYJAZD-ODJAZD – lustrem  
zysku strata  
A błyskiem stroboskopu éma w nocnym nalocie

Na miasta w tańcu Browna przypuszcza  
swoją atak.  
Symbioza miejsc i rytmów nie pozwala dociec,  
Czy trafi w błąd ROZKŁADU, czy na koniec  
świata.

#### Jerzy Madejski:

*Rytmy, albo wiersze na czas* są twórczą kontynuacją poprzednich dokonań Michałowskiego. Znajdziemy więc tu dopełnienie jego cykli haiku, pastisze, piosenki, a także poemat. Za nowatorskie przedsięwzięcie uznać trzeba zestaw wierszy „kolejowych”. Opisują one nie tylko poszczególne fragmenty fascynującego świata (utrwalone w cyklu sonetowym), lecz oddają również unikatową perspektywę oglądu rzeczywistości, w której eksponowanym zmysłem jest wzrok (*Koleje czasu*). Nie można też nie wspomnieć o wierszach ikonicznych. Należą one do najlepszych, jakie napisano w tym rodzaju twórczości. A trzeba zaznaczyć, że utwory wizualne są jednym z najtrudniejszych wyzwań poety. I Michałowski konkuruje tu z najlepszymi, m.in. ze Stanisławem Barańczakiem (jako autorem *Południa*). Z pewnością wiersze obrazowe Michałowskiego będą w przyszłości ozdobą każdej antologii takiej poezji.



## Szczelina czasu fragment poematu

9.  
Za wcześnie jest na jesienną wyprzedaż  
Autobiografii. Ja piszę, więc jestem  
(Co nie oznacza: na odwrót się nie da),  
Pisanie bowiem pośród innych przestępstw  
Wobec nicości to nie żadna scheda  
Życia po życiu. Ono ma być gestem  
Nie pod prąd bycia, lecz bycia przekrojem,  
Który zagarnia równoległe w moje.
10.  
By sytuację opisać najprościej:  
Czas nie zawracał, ani nie przemijał  
W południu jasnym – bez jądra jasności –  
Zawisła chwila – tak bardzo niczyja,  
Odarta z myśli i okoliczności,  
Nadprzeźroczysta, że czułem się nijak  
Szukając prawdy w usprawiedliwieniu:  
Było trzydzieści cztery stopnie w cieniu.
11.  
Dziesięć za mało, żeby zostać wieszczem,  
Dziesięć za dużo, by zwalczyć pokusę  
Dłuższej tyrady. A za mało jeszcze,  
By okamgnienie przebiec myśli kłusem.  
– Będzie szarada, gdy w aforyzm streszczę,  
A trywialnością, niewolną od guseł,  
Przeczuć, urojeń, snów i jasnowidzeń,  
Jeśli opowiem wszystko to, co widzę.
12.  
Wokół wariacje na temat zieleni:  
Trawniki, ławki, kosze i listowie  
W półkulach, stożkach, na tynku kamienic...  
– Mogę powtórzyć: „zielono mam w głowie”,  
Bo jeden kolor się we mnie rozplenił,  
Że nawet widzę poprzez filtry powiek  
Wplątana brzmieniem w powietrza podmuchy  
Zieloną tęczę niewidzialnej muchy.
13.  
Żegnajcie miejsca niedookreślenia,  
Bo słowa z rzeczą, rozpoczynam wyścig!  
Nie obejmuję, a się nurzam w dzień jak  
W zieloność – paszkwil na okole, gdyż Ci  
Się to spodoba, żem już pozieleniał  
Liśćmi – jak każą sytuacjoniści,  
Lecz gdy przeczytasz, krzykniesz: nie do wiary,  
Jak staroświecki może być o’haryzm!
14.  
Tak ekspansywna przygniotła mnie zieleni,  
Jakby zwieziona tu z łąki Leśmiana  
Przez Wierzyńskiego z Tuwimem. Podzielę  
Odpowiedzialność za kolor. Przemiana  
Z odejmowania „ja” wynika w dziele,
- Nie z obudowy. Więc to nie zastana  
Konfiguracja. Tę trzyma oburącz  
Podsiadło, Machej, Sosnowski i Pióro.
15.  
Tam fiolet folii utknał w żywopłocie  
– Meduza w rafie. Kundle się zbierają  
Bezdomne. Walczą pod jesionem o cień.  
Niepewną windą opuszcza się pająk  
Cienką ironią w złoczonej niemocie  
Wydziela sektor mego opus maior,  
Gdzie epifania zamienia się w donos  
– Tak samo bliski „Znakom”, jak „bruLionom”.
16.  
Co ma być głosą do rzeczywistości,  
Kiedy rzecz sama nie przyjmuje glosy?  
– Odrzuca słowo, ale mówi dość i  
Nie są to nawet „szумы” czy „donosy”.  
Nie szepty, krzyki. A mówiąc najprościej:  
Nadmiarem światła odbija niedosyt,  
A w zdaniach gasi obce iskry znaczeń.  
– Widzę – opiszę. A przedtem – wypaczę.
17.  
Mam, co zagrabia, czarne dziury źrenic,  
Potem – co nerwem spłynie przez długopis  
Czarno na białym. I udaje, że nic  
Nie utraciłem po drodze. Chlorofil  
W hemoglobinę, potem w tusz się zmienia.  
Uwierzyć trudno, że się wszystko stopi  
W jedność i będzie prawo sobie rościć  
Do nazwy: potok samoświadomości.
18.  
Chmurami srebrzy się napis TOYOTA  
I znaczy niebem przestrzeń tajemnicy:  
W kolorze ochry ekskrementy kota;  
Kleksy karminu – krew, rdza lub herbicyd  
Wytrawia trawę w sepia grudy błota;  
Hieroglif sinej po deszczu dżdżownicy...  
Taki inwentarz może wzbudzić sprzeciw,  
Jeżeli orzec krótko: barwne śmieci!
19.  
Nie ma przypadku. Wszystko gna do summy:  
Kapsel, ogryzek, skórka pomarańczy  
I białe plamy od przeżutej gumy.  
Tam niedopałki w liniach samozwańczych  
Rodzą figury domniemane. Tu myśl  
Przedmioty w słowa składa zamiast zdań. Czy  
Wytrwam w bezwładzie, by dalej wyliczać,  
Aż same złożą, Kosmos Gombrowicza?

Kontynuujemy publikację opowiadań nagrodzonych w I Ogólnopolskim Konkursie na Opowiadanie im. Ireny Dowgielewicz ogłoszonym przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną w Gorowie Wlkp. Poniżej opowiadanie nagrodzone II nagrodą w kategorii dorosłych.

**Czesław Markiewicz**

## Figowy smak śmierci

Prawdziwe problemy pojawiły się po śmierci matki. Przed najdrobniejszymi sprawami do załatwienia wyrastały wielopiętrowe schody. Na samym szczycie rachunki. Nie miał o nich pojęcia, wcześniej w ogóle nie widział ich na oczy. Gdy był już sam, regulował je dopiero, kiedy przychodziły przypomnienia, upomnienia, monity. Płacił na pocztę. Skąd miał wiedzieć, że tam pobierają największe opłaty? Wywoływał z pamięci, jak dobry sen, upierdliwość matki. Kiedy żyła, nie wiedział, po co raz w miesiącu celebrytuje piesze wyprawy na koniec miasta. Idę. Mówiła. Jej głębokie westchnienie nieprzyjemnie odbijało się echem w klatce schodowej. Złowieszczo. Podejrzewał, że coś się matce porobiło w głowie albo ma postępujące klimakterium, bo, po jaką cholerę chodzi „na koniec miasta” płacić za jakieś światło? Po jej śmierci odkrył groszową tajemnicę, że „na końcu miasta” ulokował się zakład energetyczny i w tamtejszej kasie nie pobierają żadnych opłat. Kiedy już nauczył się właściwie regulować rachunki, bez liczenia zauważył, że po opłaceniu wszystkiego, jak leci, terminowo, na stole zostawały prawdziwe grosze, za co najnormalniej w życiu nie dało się żyć. Szczęśliwie w odpowiednim czasie przestał kupować książki. Kolekcjonowanie płyt zakończył w epoce winyli. Nie pił, nie palił, oprócz butów, nie kupował ciuchów, nie zmieniał pracy na gorzej płatną, nawet na chwilę jej nie stracił, miał wyższe, może byle jakie, ale jednak wyższe wykształcenie, był błyskotliwym pracownikiem prestiżowego Towarzystwa Muzycznego, potem odchudzonego Stowarzyszenia, niczego w swoim życiu nie zmieniał, nie zwiększał wydatków, nie podnosił standardu życia, w nic nie inwestował, nie chodził na dziwki, nie wydawał na kobiety, nie uprawiał hazardu - a w jego życiu wszystko wywróciło się do góry dupą.

Wystarczyło żeby umarła matka. Pożyczał gdzie się dało i od kogo się dało. Pożyczał więcej niż zarabiał. Potem musiał oddawać. Z początku doskwierały mu, z pozoru drobne, sprzeniewierzenia długów u ludzi w podobnym położeniu. Tak pożyczył pięćdziesiąt złotych od znajomego malarza, który utrzymywał rodzinę tylko z malowania. Obrazów nie miał kto kupować, państwowe muzea już nie miały kasy, a średnia klasa jeszcze nie, albo jej w ogóle nie było. Malarz był chyba cieńszy niż on. Zanim zbilansował w pamięci te pięć dych, przypomniał sobie wcześniejszą, świąteczną historię, półżywcem z Dickensa. Kupił wielkiego karpia. Robiąc ostatnie zakupy, może zapalki, może sól, jak to zwykle przed dwunastą, natknął się na malarza, który rozpaczliwie poszukiwał po mieście karpia. Bezskutecznie. Nie, że nie było czy nie dowieźli, ale nie opłacało się, bo target świątobliwie siedział po domach, wypatrując pierwszej gwiazdy. Zaproponował malarzowi, że podzieli się swoim karpem, bo ile mogą go zjeść we dwoje z matką? Przy okazji poczuł się jak Chrystus rozmnażający ryby na pustyni. Tym bardziej, że za karpia nie wziął ani grosza. Pięćdziesiąt złotych pożyczył rok, może dwa lata po darmowym karpniu, po śmierci matki. Oczywiście długo nie oddawał malarzowi tych marnych pięciu dych. Naprawdę wcale nie marnych. Pięć dych w ich inteligenckiej sytuacji, poza realnymi złoty-

mi, wytrzewało znacznie więcej: godność przekomarżającą się z upokorzeniem, możliwości rozumu, talentu, kłócące się z przebiegłością życiową. Postanowił w ogóle nie oddawać tych pieniędzy. Ustanowił własne prawo, własny statut moralny. Z powodu karpia czuł się etycznie rozgrzeszony. Nie miał tylko pewności, czy malarz myśli tak samo, w tych samych kategoriach denominuje marność pięciu dych. W sumie gubił się w spekulacjach, stracił orientację, czy idzie o denominację długu, który urósł do wielkości morale, czy o jego deflację. Głupiał od tego przemyśliwania, wyrzutów sumienia, aż doznał do syntezy, że w ogóle będzie indyferentny i wszystko, co się da, będzie relatywizował. Poczucie niegodziwości starał się ukryć pod lingwistycznym szyderstwem. W ten sposób chciał ocalić resztki dobrego mniemania o sobie. Przy okazji odkrył prawidłowość, że najczęściej skorzy do pomocy, ryzykownych pożyczek, są ludzie, którzy znaleźli się w równie kłopotliwej sytuacji albo jeszcze bardziej wysublimowani. Ci z forsą byli twardzi. Nie pożyczali pieniędzy z zasady. Może dlatego je mieli. Jak chcieli to je rozdawali. Nie spotkał takiego.

Matka nie pożyczyła w życiu złotówki. Ani komuś, ani od kogoś. Żeby chociaż raz zapukała do sąsiadki, z prośbą o pożyczanie szklanki cukru. Nigdy. Skąd to się u niego wzięło? Matka umarła w odpowiednim momencie, szczęśliwa, że nie musiała tego oglądać, tego słuchać.

Nie zostawało na czynsz. Płacił tylko za światło i gaz. Kabłówkę też mogli odciąć. Zbierało się. Zaległości rosły bez drożdży. Kiedy uznał, że jest tego sporo, brał kredyt, kiedy nie miał na spłatę jednego kredytu, brał następny, gdy nie miał na następny, brał kolejny. Kiedy kredytów już brać nie mógł, robił debety na karcie kredytowej, kiedy nie odnawiali kredytu na karcie, przerzucał zadłużenie na kredyt konsumpcyjny, gubił się w identyfikowaniu, co jest czym, co jest odnawialne, co jest spłacalne, co jest konsumpcyjne, co komercyjne. Na końcu pojawiła się nowa jakość - uroda. I tu zaczęła się parszywa historia z sześcioma tysiącami na bandycki procent, pożyczonych mi od lichwiarzy.

Dopiero po śmierci matki zaczął się jej przyglądać. Całe życie pracowała w sklepiku zakładów tkackich. Sprzedawała resztki przemysłowe, kawałki elan, tweedów, elanobawełn, welen. Największe końcówki miały po dwa i pół metra, najmniejsze nie były mniejsze niż metr. Najczęściej miały po metr dziesięć lub metr dwadzieścia. Mniejsze idealne na spodnie, spódnice, te większe doskonale na garnitury. Kupony były w związku z tym dużo tańsze niż normalnie kupowane materiały, cięte z beli. Wszystkie jego spodnie, budrysówki, kurtki, później garnitury były szyte z tych resztek. Kiedy matka przeszła na emeryturę, a sklepik zlikwidowano, zaraz potem padł zakład, chociaż już nie kupowała tanich resztek, największa, dolna półka w trzydziemioletniej szafie i tak zawałona była zapasami materiałów. Tym bardziej nie ubywało ich po jej śmierci. Obawiał się, że zostanie jeszcze sporo nawet po jego śmierci, jeśli nie zeżrą tego mole, z którymi nie umiał, nie chciał, nie potrafił prowadzić wojny. Sobie też matka nigdy nie kupowała niczego gotowego. Wszystko szył zawsze ten sam krawiec, etatowy pracow-

nik zakładów tkackich. Ćwierć miasta pracowało w tych zakładach. Wszystkie dobrodziejstwa prostego, bezpiecznego życia płynęły z tych zakładów. Matce też coś skapnęło, niewielka, ale pewna emerytura. Dlatego chętnie i często używała słowa „stabilizacja”.

Jak zdjęcia w rodzinnym albumie przesuwają się przed oczami drobne zdarzenia, bardziej skomplikowane sytuacje. Widział ją siedzącą przy stole w kuchni, jak uzupełnia swój dziwny, najdziwniejszy na świecie zeszyt. Miał trzydzieści dwie kartki. Pierwotnie miał standardowo sześćdziesiąt kartek w kratkę. Matka powyrzywała zbędne, bo potrzebowała tyle, ile było dni w miesiącu. Ta dodatkowa kartka, kiedy miesiąc miał trzydzieści jeden dni, była na oszczędności. Każdą kartkę zaginała w trójkątną kopertę, do każdej koperty wkładała stużłotowy, czerwony banknot, tylko taki kolor, taki nominał zapamiętała. Była to dzienna kwota na podstawowe wydatki. Na specjalne zakupy, buty na zimę, wyprawki szkolne i w ogóle ciuchy, przeznaczała premie, nagrody, dodatkowe wypłaty za nadgodziny, z których zwykle rezygnowała, chcąc spędzać jak najwięcej czasu z jednakiem. Każdego dnia, wieczorem, w okolicach emisji dziennika telewizyjnego przeglądała koperty, jeśli w aktualnej coś zostawało, przekładała do tej na trzydziestej drugiej stronie. Prawdopodobnie nie zdarzyło się, żeby przekroczyła zawartość pojedynczej koperty w odpowiednim dniu. Pieniądze z koperty z trzydziestej drugiej strony przeznaczała na luksusy. Miał na kino, zabawki, słodczyce, później na książki, płyty. Dzięki temu zeszytowi niczego mu nie brakowało.

Zeszyt został, matki nie było. Nawet nie spróbował z niego skorzystać. Nigdy nie włożył do którejś z kopert choćby grosza, niechby na szczęście, jak łuskę świętecznego karpia do portfela.

Od zeszytu zaczął rozpamiętywanie. Im bardziej brnął w pozostawionych przez matkę rachunkach, zapiskach, zdjęciach, niezidentyfikowanych papierzykach, tym więcej magicznych słów wylazило z pamięci. Dopasowywał je do przedmiotów, zdarzeń, wypowiedzianych zdań, wyznań, pojedynczych słów. Od słowa do słowa odkrywał szare tajemnice świata, który zamiast odejść razem z matką, przeniósł się nagle, z dnia na dzień do jego świata. Jedno z magicznych słów matczynej rzeczywistości to „ORS”. Dopasował je bezbłędnie do odkurzacza, pralki, telewizora, lodówki. Po co trzymała karty gwarancyjne wszystkich tych sprzętów? Każda z nich mogła być cennym nabytkiem pierwszego lepszego archiwum. Może wydawało się jej, że skoro potrafi utrzymać całą tę rupieciarnię w sprawności przez kilka dziesięcioleci, to może ktoś władny to doceni i uwzględni ewentualną, nie daj Boże, usterkę, choćby po stu latach? Wszystko to kupiła na raty. I nigdy już tego nie powtórzyła. Jak trzeba było, wzywała specja, cudotwórcę, który to i owo, w tym i owym przerabiał, tak żeby Gierek nie kłócił się dajmy na to z Mazowieckim. Siedział, samotnie, gapiąc się w ekran „Klejnota”, sterczącego na ciągle sprawnych, chociaż wykręcanych nóżkach, jeździł po pustym mieszkaniu obłym jak „Volkswagen” „ogórek” odkurzaczem „Alfa k II”, wrzucał już tylko swoje brudy do bębna teslowskiej super pralki z własnym podgrzewaczem wody i wmontowaną w korpus wyżymaczką, wkładał kielbasę do lodówki adekwatnej marki „Kra” - ożywiając złośliwie matkę. Pod prąd, albo w ogóle omijając nurt, ruchy społeczne, bezkrwawe rewolucje, jesienie ludów, wstrzymała w swoich czterdziestu dwóch metrach kwadratowych lokatorskiego świata bieg historii. Upadła Jałta, runął Mur Berliński, rozpadły się Sowiety, a ona trwała przy swoim „Klejnocie”, „Krze”, Alfie k II”. Szanowała pierwsze, najpoważniejsze zakupy jak dziewictwo. No i cześć jej pamięci. Wielkie dzięki za taki spadek. Z szacunkiem, ale po śmierci matki dopadła go, jak nieprzebyta w dzieciństwie odra,

anachroniczność swojego żywota. Był jednym z eksponatów panoptikum mamusi.

Zrozumiał nawet tajemnicę jej trzydziestodwukartkowego zeszytu. Polegało to na uprzedzającej wyciąganie banknotów analizie cen. Matka skutecznie wprowadzała w życie zasady gospodarki planowej. Znała ceny każdego, najdrobniejszego artykułu. Kupowała tylko to, na co było nas - tak mówiła - stać. Nie było szans na jakąkolwiek improwizację. W dzieciństwie zupełnie tego nie rozumiał, kiedy dorósł, nienawidził tych uwag, bo uświadamiały mu granice, które niechętnie określał jako egzystencjalne. No i ta liczba mnoga. Nie koncentrował uwagi na tym, na co go stać, na co nie. Odnosił jednak wrażenie, że dla matki było to esencją życia. Skoro jej życia, mógł na to machnąć ręką. Po jej śmierci nie miał już komu wcisnąć banału egzystencji.

Jak robaki unieśmiertelnione w bursztynie wydłubywał z pamięci dowody esencjonalnej egzystencjalności matki. Mścił się, nazywając to tak, jakby nigdy przy niej tego nie nazwał. Bała się takich słów. Jak nie rozumiem słów, to one ukrywają być może zło. Tak się broniła. Wysyłała go do sklepu na przykład po makaron. Starał się zapamiętać wyłącznie, że mają być kolanka. Dla dziesięciolatka było to niewyobrażalnym wysiłkiem. Prosił o kolanka i dostawał kolanka. W sklepie nikt nie pytał, jakie to mają być kolanka. Przynosił do domu kolanka. Matka nie przyglądała się kolankom, analizowała wyłącznie paragon. I robiła wykład. Makarony są dwu, trzy i czterojajeczne. Zapamiętaj, bez względu na to, czy kupujesz kolanka, świderki, nitki, wstążki, czy tam Bóg wie co, zawsze proś o makaron dwujajeczny. Był przekonany, że ten dwujajeczny jest po prostu najlepszy, skoro mama tak mówi. Istota ukryta była w cenie. Odnosił więc do sklepu czterojajeczne kolanka i wymieniał na dwujajeczne, tańsze o kilkadziesiąt groszy.

Udało mu się łamać rygory trzydziestodwukartkowego zeszytu. Raz matka zmiękla, a on zmanifestował, że ma fantazję i potrafi bronić marzeń. Miał kupić niskosłodzony dżem śliwkowy. Matka kilka razy powtórzyła „niskosłodzony”. Rozumiał, że skoro „niskosłodzony”, to odpowiednio tańszy. O pomyłce nie było mowy. W „niskim słodzeniu” nie ukrywała się żadna dwu albo czterojajeczna tajemnica. Na nieszczęście trafił do „Samu”. Mógł więc sam zdecydować, który słoik włożyć do koszyka. Na półce roilo się od dżemów niskosłodzonych. Wydawało się, że wszystkie, truskawkowe, malinowe, morelowe, jagodowe, a nawet pomarańczowe są niskosłodzone. Prawie żadnych, rażących różnic w cenie. Matka mogła być spokojna. Tymczasem na jednej z półek natknął się na rządę fantastycznych słoików z wysokosłodzonym dżemem figowym. Nigdy jeszcze nie jadł takiego dżemu, w ogóle nie znał smaku fig, w jakiegokolwiek postaci. Nie zaważał się, włożył do koszyka słoik wysokosłodzonego dżemu figowego, nawet nie zerknął na cenę. Zapłacił podwójnie, jak za dwa słoiki niskosłodzonego dżemu śliwkowego. Miał dużo szczęścia, był poranek, matka dopiero otworzyła odpowiednią kopertę w trzydziestodwu kartkowym zeszytce, wieczorem albo po południu dysponowałaby mniej więcej wyliczoną kwotą. Był zdesperowany, nawet się nie bał reakcji matki, zresztą nigdy nie podnosiła głosu, stanowczym piano kazała odnosić chybiony zakup. Tym razem, powiedział, nie. Krzyknął, nie! Matka popatrzyła, pomilczała, co było najgroźniejszą formą jej wzburzenia, i odpowiedziała, dobrze, będzie na święta. Był koniec września. Czekał prawie trzy miesiące. W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia dorwał się do słoika, opróżnił dwoma palcami, wskazującym i serdecznym, cały słoik wysokosłodzonego dżemu figowego. Mdlilo go jeszcze przez cały drugi dzień Świąt. Matka nic nie mówiła.



Wymienianie makaronu czterojajecznego na dwujajeczny, ceresu na margarynę, oleju z pestek winogron na olej rzepakowy, kawy rozpuszczalnej na zbożową, cukru w kostkach na kryształ, każda ponowna wizyta w sklepie upokarzała go bardziej niż wszystkie inne upokorzenia dzieciństwa. Błąkał się pod sklepami rozdygotany, z wypiekami na twarzy, wstydził się tego zwracania bardziej niż sporadycznego moczenia prześcieradła w nocy. Gdyby chociaż raz wymienił coś taniego na coś odrobinę droższego, zrobiłby to całkiem bezwstydnie.

Nie musiał za długo rozdrapywać banalnie pamięci, tamto bolało bardziej niż pożyczanie pieniędzy. Jeśli po śmierci matki coś go bolało, to tylko to, że za te jego sentymentalne, pompacyjne odkrycia ona musiała zapłacić aż taką cenę. Dopiero musiała umrzeć.

Zasadnicza jak teoria względności, praktyczna jak nóż fiński, chcąc dla niego dobrego, wygodnego życia, powinna kształcić go na jakiegoś inżyniera, lekarza, prawnika. Często mówiła, będę cię kształcił na tego i tego. Nigdy „ten” i „ten” nie był inżynierem, lekarzem, prawnikiem. Żadne jakieś tam zawody politechniczne, ścisłe, organiczne. Chciała żeby był humanistą, pisał wiersze, powieści, sztuki teatralne, na końcu pojawiły się scenariusze filmowe. Nie zdążył zapytać, dlaczego tak? Dlaczego mam, do cholery, być poetą? To dobre dla pedałów i przyszłych panienek. Teraz mógł odpowiedzieć za nią. Miał pewność, że odpowiedziałaby tak: „Widzisz synu, jak już wszystko przeczytasz, jak poznasz losy wszystkich tych ludzi z całego świata, którzy żyją w tych wszystkich książkach, w tych wszystkich zaświatach, to będziesz wiedział, kiedy zapłakać, kiedy się zaśmiać, kiedy milczeć, kiedy krzyczeć, będziesz wiedział, jak masz się zachować w ludzkich i nieludzkich sytuacjach. I nawet jeśli ten normalny, rzeczywisty świat będzie beznadziejny, nie do zniesienia, to ty będziesz umiał wymyślić swój, własny, z tymi wszystkimi bohaterami, których poznałeś z tych wszystkich książek. Jeśli nie będziesz miał żadnej swojej, ciekawej historii, to będziesz umiał ją sobie zmyślić”.

Naiwna mamuśka. Chwaliła się sąsiadkom, sam słyszał to na własne uszy, że syn był z Herbertem jak równy z równym. Biedna matka, nawet nie zapytała po jego powrocie ze Świdwina, od czego są te plamy na aksamitnej marynarce, raz, tylko raz trafiły się takie resztki, był to aksamitny odrzut eksportowy z puli przeznaczonej na Węgry. Pewnie myślała, że to od toastu z Herbertem, za literaturę, dlatego nie pytała, bo wiedziała, że przez skromność syn nigdy się do tego toastu nie przyzna.

Nie zrealizował naiwnych ambicji matki. Nawet gdyby został poetą, zgoda, mógł spróbować. Wszystko da się sprzedać. Mógłby stanąć na ulicy, w jakimś ruchliwym miejscu, z czapką u stóp i wykrzykiwać swoje wiersze. I co? Musiał walczyć, utrzymać się jakoś na powierzchni. Miał bronić się wierszami? „Przypierdolić wierszem”, jak napisał w swoim tomiku młody, miejscowy poeta? On też nie potrafił się bić, oni potrafili być pięknie bici. Ale co matka mogła o tym wiedzieć? Umarła. Dopiero po jej śmierci miał ochotę napisania czegoś. Zaswędziły go strupy po pierwszych próbach w przeszłym ćwierćwieczu. Zresztą czas nie miał już żadnego znaczenia. Zegar stanął, gdy matka nachylając się przy rozkładaniu kanapy, padła na podłogę z wylewem krwi do mózgu. Chciał coś zrobić dla niej, nie myślał o epitafium, dać jej satysfakcję, może nie było za późno. Kiedyś dedykował matce wiersz, nigdy go jej nie pokazał, osiemnastoletniemu autorowi wydał się pretensjonalny, to był najważniejszy moment, żeby go jej przeczytać, może reszta wcale nie okaże się głucha: „mógłbym ją nazwać każdym imieniem. to ona wymiata codziennie. kurz z moich oczu. to ona usypia mnie zbyt wcześniej. pomarszczonym policzkiem. w ustach nosi niepoczytalną

książeczkę. do nabożeństwa. układa na półce. słońca i małe buciki z pobijanymi kolanami. niedokładnie słuchana. postanowiła mówić tylko w snach. kiedy otwiera drzwi to jakby. powiew tlenu rzucała uduszonemu. ubolewa nad każdym samobójstwem. podpełzającym z nocnych wypraw. mojego mózgu ona chce. żeby zawsze naśladował Indian. z książek które czytam. zamiast słuchać jej niemych opowiadań. drukowanych między kotлетem schabowym. a zupą pomidorową, kim będzie kiedy herbata. na nocnym stoliku wystygnie. do szpiku podłogi”.

Męczyła go ta humanistyczna tęsknota. Matki. Skąd to miała? Rozumiał, atmosfera sklepiku z materiałami, jakby bławatnego, Herbert, wałkowany w szkole, jak Mickiewicz, dotknięty przez syna, ale to było później. Nie czytała Schulza, Herberta nie rozumiała. To musiała ją dopaść wcześniej. To mógł być mężczyzna. Żywy, z krwi i kości. Ot, tak sobie nie zaszła w ciążę. Musiała kochać. Oczywiście zapytał o ojca. Na to pytanie nie odpowiem, był i zniknął, gdyby nas chciał, odezwałby się. Powiedziała. Nie użyła słowa „kochał”. Był na tyle dorosły, znał matkę, jej powściągliwość, że więcej do tego nie wracał. Nie tęsknił do ojca, nie mógł tęsknić do czegoś, czego nie znał. Chociaż wszyscy normalni ludzie dokładnie odwrotnie, tęsknią do tego, czego nie znają. Wszystko wskazywało na to, że był po prostu inny. Nienormalny.

Normalnie był chorobliwie samotny. Wiedział o tym od zawsze, ale do kiedy żyła matka, czekał na coś, co odwróci to wszystko jakoś na swoją stronę. Prawdopodobnie czekał na śmierć matki. Nawet jeśli o tym nie wiedział.

Normalnie powinno być tak, że człowiek coś wie, wie czego chce, co chce robić, kim chce być, niekoniecznie wiedząc, kim jest. On nigdy nie zastanawiał się nad tym. Czekał. Matka umarła. Czekanie straciło sens, miało sens, gdy żyła matka. Po jej śmierci nie poczuł się ani trochę mniej samotny.

Prawdopodobnie matka nie miała jednak z tym nic wspólnego, tak samo, jak nieistniejący w jego świecie ojciec. Nie miało znaczenia, że zapamiętał ciepło matczyne uda, którym przytuliła go w łóżku, kiedy jako dziesięcioletek śmiertelnie gorączkował przy zapaleniu płuc, wydawało mu się, że to matka ma czterdzieści stopni gorączki, że tą temperaturą ratuje mu życie, przykrywając go ciepłym, aksamitnym udem. Ojciec nie był mu do niczego potrzebny.

Beznamiętnie pomyślał, że on mógł, powinien być ojcem; dać początek krzywej linii jakiegoś życia.

### Nowy serwis internetowy

20 sierpnia 2007 wystartował trójjęzyczny (polski, rosyjski, litewski) serwis internetowy dla młodzieży **www.euroreading.eu**. Reklamowano go tak: Chcesz być sławny? Jesteś początkującym dziennikarzem, pisarzem, poetą? Po prostu lubisz pisać i chcesz się sprawdzić? Chcesz napisać coś dobrego lub tylko skomentować to, co napisali inni? Chcesz podzielić się swoimi literackimi fascynacjami?

Każdą nadesłaną pracę skomentuje ekspert Włodzimierz Kowalewski.

Najlepsze prace będą opublikowane, a troje autorów pojedzie na wycieczkę do trzech krajów partnerskich. Dla wszystkich dostęp do forum dyskusyjnego, rankingu literatury i spotkań autorskich online.

## O Klubie Literackim w Gorzowie

Na wstępie, gwoli uściślenia, pragnę obwieścić wszem i wobec fakt, niezbyt jasno podany do wiadomości czytelników „Pegaza Lubuskiego” oraz mieszkańców miasta Gorzowa Wlkp.: na zebraniu sprawozdawczowym koła ZLP.O/Gorzów w lutym b.r. postanowiłam reaktywować zapomniany już Klub Literacki. Nie był to tylko postulat Komisji Rewizyjnej o potrzebie spotkań twórców gorzowskich z mieszkańcami miasta, ale gotowość działania w tej dziedzinie, która została poparta głosami obecnych na zebraniu członków ZLP. Pisząc to, doznałam olśnienia, że może to być nasz wkład, czyli literatów, w bogatszy rozwój intelektualny i duchowy miasta, na jego jubileusz 750-lecia, tylko nie wiem, czy zazdrosny Prezes mi to wydrukuje. Raczej powinien się cieszyć, że jeszcze ktoś oprócz niego interesuje się zaspokajaniem potrzeb twórczych zwyczajnych obywateli.

Pierwszą jaskółką działalności tego Klubu był kiermasz książek, zorganizowany w sobotę 30. 06. b.r. przy pomocy i współudziale dyrekcji WiMBP w Gorzowie Wlkp. Odbył się w alejce Parku Róż, obok Biblioteki przy ul. Sikorskiego. Niefortunnie zbiegł się z uroczystościami 750-lecia miasta przy bulwarze n/Wartą oraz oficjalnym otwarciem nowego mostu. Mimo to każdy z obecnych twórców zdążył sprzedać parę swoich książek, zanim ulewny deszcz zmusił nas do zwijania kramów. Jak na początek, nieźle. W przyszłości, mamy nadzieję, będzie lepiej. Najważniejsze, że zaistnieliśmy w mieście.

Ambicją i pragnieniem Klubu jest wyjście naprzeciw mieszkańcom miasta, zaistnienie w ich świadomości oraz zaspokajanie potrzeb intelektualnych, duchowych i społecznych w formie stałych i okolicznościowych spotkań. Zależy nam nie tylko na młodzi, ale również na pokoleniach ludzi dorosłych, bo pierwsi i drudzy będą mogli, mamy taką nadzieję, odnaleźć się w różnorodnej twórczości autorów gorzowskiego ZLP w skali wiekowej 20-80 lat. Każdy z nas ma coś do zaoferowania, czy to z własnego doświadczenia, z wiedzy, jaką posiada, czy też z posiadanej wyobraźni, w myśl zasady: dla każdego coś miłego. Ucieszyła mnie wiadomość od naszego nieocenionego mecenasa, dyr. WiMBP Edwarda Jaworskiego, w maju b.r., kiedy to wróciłam ze Zjazdu ZLP, że pomyślał już o nas po przeprowadzce do nowego gmachu biblioteki. Na parterze obecnego budynku Klub Literacki otrzyma pomieszczenia na działalność i spotkania twórcze z członkami oraz mieszkańcami miasta. To się nazywa gest! Będą mogły się odbywać spotkania autorskie, indywidualne i zbiorowe. Tutaj będą odbywać się promocje naszego „Pegaza”, zebrania oraz inne konieczne spotkania, np. na wniosek bywalców. Klub zamierza również prowadzić spotkania autorów w filiach Biblioteki na terenie miasta i w terenie. Tam raczej zbiorowe, połączone ze sprzedażą własnych książek. Liczymy na zainteresowanie i frekwencję. Sądzę, że w klimacie starego, lecz pięknego, zabytkowego pałacyku, spotkania te będą cieszyły się powodzeniem. Wszyscy bardzo na to liczymy. Tylko mieszkańcy będą musieli pomału do tego się przyzwyczaić, ale nie od razu Kraków zbudowano. Ale to jeszcze nie wszystko. Na koniec zostawiłam prawdziwy rarytas, czyli niespodziankę. Kropką nad „i” będzie prawdziwa literacka kawiarenka, w najniższej kondygnacji pałacyku, gdzie codziennie będzie można się spotkać przy małej czarnej i zwyczajnie, po przyjacielsku pogadać czy nawet sympatycznie poplotkować.

A wszystko to dzięki człowiekowi, któremu zależy na humanistycznym rozwoju miasta, dla dobra jego mieszkańców i przyszłych pokoleń.

*Szefowa Klubu – Barbara Trawińska*

## Morawscy nagrodzeni

W konkursie ogłoszonym przez Urząd Miasta „Gorzów w mojej pamięci” I nagrodę uzyskała Maria Morawska za opracowanie wspomnień zmarłego męża – Zdzisława Morawskiego pt. „Zapiski codzienne”. Nagrody wręczono 2 lipca 2007 r. w ramach obchodów 750-lecia miasta. Można mieć nadzieję, że niebawem zostaną opublikowane.

## Gierliński napisał elementarz

Karol Gierliński jest autorem pierwszego elementarza dla dzieci romskich pt. „Miri szkoła” („Moja szkoła”). Napisany jest w dialekcie Romów Polskich, ale może służyć także Romom na Litwie, Ukrainie, w Niemczech, Szwecji i Anglii, gdzie Romowie mówią tym samym dialektem. Podręcznik zaakceptowało Ministerstwo Edukacji Narodowej i przekazało pieniądze dla SP nr 1, gdzie uczy się najwięcej dzieci romskich. Ukazał się najpierw w nakładzie 500 egzemplarzy i jest rozdawany za darmo.

- Chodzi o to, by dzieci ucząc się polskiego, równolegle uczyły się swojego języka, żeby czytały literaturę romską – mówi Karol Gierliński. Nauka języka to walka o kulturę i zachowanie naszej tradycji.

*za: Artur Brykner, „Elementarz romskich dzieci”, „Gazeta Wyborcza”, 23 IV 2007 r.*

## Cygańskie wiersze

Stowarzyszenie Twórców i Przyjaciół Kultury Cygańskiej w 2006 r. wydało tom wierszy Ryszarda Kucia, poety z Maszewa.

Ukazał się także tomik wierszy Don Wasyla Szmida pt. „Pasażerowie niebieskiego taboru”. Wydawcą jest Kujawsko-Pomorski Związek Literatów we Włocławku, a książkę rekomenduje Europejskie Stowarzyszenie Edukacji i Kultury Romskiej. Ilustracje – Zdzisław Szmid. Wiersze mają formę dwujęzyczną: po romsku i po polsku. Brak nazwiska tłumacza sugeruje, że autorem obu wersji jest Don Wasyl.

## W świecie wirtualnym Beaty P. Klary

Od pół roku wpisuję się w wirtualne zjawisko – prowadzę literackie forum *Blejtramy słów*. Spotyka się na nim kilkadziesiąt osób, by pracować nad swoimi tekstami, które zaraz po napisaniu wiersza, piosenki są prezentowane na forum. Krytykujemy swoje utwory, chwalimy, wynajdujemy błędy, niekonsekwencje – zawsze jednak robimy to z życzliwością i myślą, że wszystko dla dobra wiersza. To dzieło samo w sobie jest najważniejsze. Wszelkie sympatie muszą ustąpić miejsca profesjonalnemu podejściu do wytworu ludzkiej myśli. Miałam wiele wątpliwości, powołując z kilkoma osobami do życia tego typu przedsięwzięcie medialne. Dziś wiem, że to było trafne i że potrafię się w wirtualnym świecie realizować. Moje wiersze zyskują wiele po tym, jak dziesiątki oczu je zobaczą. To bardzo dobry i nowoczesny warsztat piszącego. Polecam poetom, by zaistnieli właśnie w taki sposób. Warto. Dla zainteresowanych załączam link do *Blejtramów słów* (konieczna jest rejestracja, by zajrzeć do wnętrza owego wigwamu) <http://www.blejtramslow.kylos.pl/blejtram/index.php>

*Beata Patrycja Klary*

## Monika Kaczmarek

\* \* \*

wryłeś mi się pamięcią  
w pamięć moją, delikatną,  
i dlatego nie umiem pisać  
o tobie  
bo jesteś jesteś jesteś  
ciemnością, najniemożliwszą,  
logicznego myślenia  
rakiem pochłaniającym  
najdoskonalej doszczętnie  
wszystko co we mnie  
rozumne

widziałam film o tobie  
i obejrzę jeszcze takich więcej  
żeby wyrzywać łzy  
jak kleszcze ofiarowane  
zgnilizną twoich słów, zapewnień  
najsłodszych  
rosnących pęczniejących  
krwią, bezbronną całkiem ale mściwą

takim ja drzewem jestem  
nienawidzę  
długowiecznością od korzeni po liście  
zelenią, kipiącą od gniewu  
gniew ten zaniosę wiatrem do ciebie  
na listku płatk  
mojego ostatniego zaufania  
zeschniętego przez ciebie

nie na próżno przyszło mi zwiędnąć  
nawet i kilka razy  
rozkwitam dla wiosny znowu  
ostatecznie zielona

## Karol Graczyk

### Ciąg dalszy nastąpi

Ech, kiedy się miało  
dwadzieścia trzy lata;  
wódka jeszcze tak nie szkodziła,  
papierosy były jakieś dłuższe.

W wierszach odkrywało się świat,  
teraz przykrywa się nimi śmierć bliskich,  
rachunki lekarzy, chwilowe, jeszcze,  
zaniki pamięci.

Teraz już wszystko jest  
przyzwyczajeniem. Tylko wzywianie  
zza miedzy się rodzi.  
I kolejni zdobywcy świata.

## Marek Grewling

### Wrzesień

To dziwna jesień...

słońce utonęło  
pod horyzontem już w lipcu  
i nie myśli wychylić się  
znad morskich  
fal

Kolejny wrzesień

moi uczniowie  
zuchwali  
młodością  
i pięknem  
o którym  
nie mają pojęcia  
śmieją się z mojego  
brzucha który  
staje się globem

To dziwna jesień

wszystko wraca jak  
stary film – w kolorze sepii  
jakże by inaczej  
wszystko – czyli nic  
co wraca nie jest żadnym  
teraz, ani jutrem, ani niczym

To smak trwania

smak wieczności  
oprawiony w pastelowe  
złoto słońca

### Bosa skrzypaczka

Nasze powitania  
przejmują  
nieporadnością,  
jak ćwiczenie  
trudnego pasażu  
stoisz z tym instrumentem  
piękna  
zawstydzona przełamaną nutą,  
która upadła  
do twych obnażonych nóg  
bosa skrzypaczko  
w sukience Gauguin'a  
nasze powitania  
ze słów  
stają się melodią,  
którą chłonę  
w moje wielkie  
święto



## Marek Wojciechowski (Lobo)

### lato, kiedyś

Zielona makatka na ścianie. Nad nią figurka,  
w skupieniu wpatrująca się w swoje i nasze  
brudne nogi. Izba maźnięta błękitem, identyczny  
front babcinej chaty, ostatniej chyba strzechy.  
Chabry w ogrodzie, rozsiadłe na grządkach,  
kłujące oczy pysznym rozrastaniem.  
Dorośli zajęci młócką. Zboże zestawione w snopy  
zwożą drabiniastymi wozami, szeregowo podają na  
maszynę podłączoną do końskiego kieratu. Kobiety  
szykują obiad przed domem, spocone, biegające  
w kółko, jak stado gęsi, głośniejsze od nich.  
Obiad suty, połączony z kolacją wieńczącą dzień  
pracy,  
zakrapiany sownie kupną wódką, z miasta. My,  
umorusani jak młode diabły, chciwie  
wysłuchujemy się  
w męskie, mocne rozmowy, zapamiętujemy słowa,  
którymi będziemy chwalić się przed dziewczuchami,  
w szkole, po wakacjach, dodając sobie lat.

*To było wtedy, gdy zginął Głupi Franek. Przejechał go  
samochód, jeden z trzech, które tu widywali.*

### formuła

*Wciskać się w niepoznane i być  
jak metalowa drzazga w skórze dni.*

Niech to się kręci razem: ten deszcz,  
wiatr neutrino, ta alergja na mgłę,  
w której drzewa topią się jak cukier.

Miękkość jest drapieżna i ciemna  
jak kawa, która ma tę przewagę,  
że wystarczy, że smakuje.

Miękkie jest twarde, jest metalową drzazgą,  
w skórze. Żąda wysiłku i skomplikowanych  
modłów, na które nigdy nie wystarcza czasu.

A wszystko wokół jest przenikaniem  
wzajemnych dotyków i muśnięć,  
zwodniczym w niepozorności  
jak błysk skalpela, iskra supernowej.

Noc pachnie deszczem, ja – tobą,  
a na słońcu kwitną plamy,  
niczym monstrualne słoneczniki.

## Ireneusz Krzysztof Szmidt

### Trwanie

Każdego dnia  
odchodzą od nas bliscy  
i nie możemy ani im  
ani sobie pomóc.

Każdego dnia słyszymy  
stamtąd wołanie,  
które zagłusza dzwonów  
historyczne bicie.

Zamykamy okna,  
otwieramy okna  
i każdego dnia  
w to niby życie gramy.

I choć podobno jest tam cudnie  
choć girlandami tam strojne bramy  
schodzimy z parapetów i na nich  
z powrotem stawiamy kwiaty.

Trwamy...

## Beata P. Klary

### Ona za oknem

noc przestraszona brakiem odbicia  
przemyka między opuszczonymi oknami  
dotyka emalię  
powyginaną w obrazy pachnące  
ziołami słonecznego dnia gdzie chaber  
bławatków na seledynem  
malowanej trawie i malinowym sokiem  
pomazane palce

między opuszczonymi powiekami  
przestraszona brakiem odbicia  
niewidoma dziewczyna

### pięknie jest

w każdej głowie nieszczęsnej  
tyle jest życia, co w garści dziecka  
z piaskownicy ziaren.  
tak samo przypadkowo piaskownicą zwanych,  
jak przez innych plażą, albo wielką diuną.  
pięknie być wolnym dzieckiem  
z nierównym uzębieniem, bez wykutej teorii  
o formacji ducha.  
bliżej wtedy jest niebo, słońce bardziej pali,  
a owsianka jak zwykle niesmaczna choć zdrowa.  
pięknie być czystym dzieckiem, by znów  
z przekonaniem, z piasku świat choć na chwilę  
dla dwojga  
zbudować.

W ostatnich miesiącach wiele się zmienia w politycznych kontaktach między Polską z Niemcami. Wracają reentymenty i rozliczenia, politycy wystawiają sobie rachunki za przeszłość i straszą niepewnością o przyszłość. Żyjemy w przygranicznym regionie, nasze kontakty z Niemcami realizują się w codzienności: robimy zakupy po obu stronach Odry, wiele imprez organizowanych jest z inicjatywy współpracujących od lat instytucji lub grup społecznych, z funduszy na przygraniczne współdziałanie finansowane są przedsięwzięcia i publikacje. Najważniejszą instytucją zrodzoną z przygranicznej wspólnoty jest Uniwersytet Europejski Viadrina we Frankfurcie nad Odrą, gdzie studiuje wielu Polaków. Gorzów może być przykładem dobrej i bliskiej współpracy dawnych i obecnych mieszkańców miasta. W bieżącym roku wspólnie obchodzimy 750-lecie naszego miasta. Jaki wpływ na nasze kontakty może mieć to, co się dzieje na górze? Czy nie zniweczy tego, co przez lata, z trudem wypracowaliśmy we wspólnych kontaktach? Proponujemy relację studentki Viadriny - Katarzyny Rybińskiej o zajęciach na tej uczelni, o tym, co łączy, a nie co dzieli.

I.K.S.

# Budowanie kolejnego mostu na Odrze

## Katarzyna Rybińska

PIOTR ROGUSKI

*CO MNIE OBCHODZĄ NIEMCY*

**50-60 lat po wojnie? widzę przecież mają się dobrze konta puchną bezrobocie w normie z niepokojem czekam na dzień w którym odejdą ostatni świadkowie słyszę po szufladach dojrzewają już dzieła ogromne oprawne w skórę jagniąt i czyhają na moment by zająć miejsca przeznaczone dla ofiar**

Piątkowe przedpołudnie. Frankfurt nad Odrą; Budynek Gräfin Dönhoff – Uniwersytet Europejski Viadrina. Zwykle tętniąca życiem „Gräfin Dönhoff”, na tarasie której wita nas chłodnym powiewem oddalona o zaledwie kilkanaście metrów ospała Odra, jest dziś opustoszała. Dla większości studentów i profesorów zaczął się już długo wyczekiwany weekend. Tylko niewielu nienasyconych przyszło dziś w poszukiwaniu czegoś, czego nie znalazło w trakcie czterodniowego maratonu nauki. Tu jakiś Niemiec na schodach doczytuje „Początek” Szczypiorskiego, tam ktoś ogląda wystawę poświęconą polskiej stolicy, gdzie indziej grupka stremowanych polskich i niemieckich studentów omawia szczegóły poniedziałkowej prezentacji.

W sali nr 6 zaczyna się ostatnie już w tym semestrze seminarium „Odra – Oder. Historia, teraźniejszość i przyszłość europejskiego regionu kulturalnego”. Wykład prowadzi dr Beata Halicka, która pracuje właśnie nad kolejną książką na temat rzeki Odry. Frekwencja jak zwykle jest wysoka, mimo że większość studentów, zarówno polskich jak i niemieckich rezerwuje piątek na inne zajęcia, niekoniecznie związane ze studiami. Grupa jest zróżnicowana. Są tu ludzie pochodzący z obu stron Odry, studenci, którzy przyjechali w ramach wymiany akademickiej na jeden semestr, absolwenci uczelni, którzy praktycznie nie potrzebują zaliczenia z tego seminarium, a jednak przychodzą regularnie i wreszcie zwykli studenci, którzy mieszkając tak blisko Odry zechcieli dowiedzieć się o niej czegoś więcej. Dla Piotrka, studenta II roku kulturoznawstwa, Odra stała się czymś więcej niż tylko rzeką. „Odra to historia, to kultura – mówi - to dobre i złe wspomnienia, to ludzie”. Niestety środowisko akademickie Viadriny, a zwłaszcza miejscowi po obu stronach Odry nie interesują się tym, ile treści kulturowych i historycznych niesie ze sobą prąd tej

rzeki – porównywanej do poczciwej wiejskiej baby, podczas gdy Ren w kulturze niemieckiej nosi znamiona boskości. Niewielu studentów wie, że dzisiejszą Odrę nazywano kiedyś Viadrus i że nazwa uniwersytetu - Viadrina – pochodzi aż z antyku i oznacza tyle co „położona nad Odrą”. Projekt „Odra – Oder” ma na celu postawienie małego kroczka w kierunku polepszenia stanu pracy badawczej na temat Odry. Ma na celu, gdyż piątkowe seminarium, które dobiegło już końca było tylko częścią projektu „Odra – Oder”. W tej części poznaliśmy i zgłębiliśmy różne publikacje naukowe dotyczące geograficznych, gospodarczych,

ekologicznych i kulturalnych aspektów regionu nadodrzańskiego. Zaczynaliśmy od najstarszej historii rzeki i regionu, poprzez stan teraźniejszy, na planach na przyszłość Odry i kraju Odry kończąc. Nie ukrywam, iż bardziej niż hydrologiczny i geograficzny system rzeczny czy ochrona środowiska odrzańskiego interesowała mnie historia miast nadodrzańskich po obu stronach Odry, specyficzna, gdyż nacechowana przenikaniem się dwóch w jakimś stopniu różnych sposobów myślenia i stylów życia, polskiego i niemieckiego, kultura regionu i to na ile w tej kulturze można mówić o integracji polsko – niemieckiej. Najwierniejsze odpowiedzi na te pytania znajdowaliśmy we wspomnieniach ludzi pogranicza lub w literaturze pięknej i poezji zamiejscowych twórców, których utwory również są swoistymi wspomnieniami. Często były to bolesne wspomnienia przesiedleńców, które sprawiały, że Odra stawała się przepaścią między Polakami i Niemcami, zdarzały się również wspomnienia miłe, kiedy ludzie zapominali, kto Polak a kto Niemiec, dla nich istniał tylko człowiek.

W trakcie dyskusji na zajęciach okazywało się, że rodziny niektórych uczestników pamiętają niemiłe doświadczenia z mieszkańcami po drugiej stronie Odry. Te rozmowy uświadomo-

miły mi, że pierwszym etapem do zbudowania integracji między dwoma narodami jest poznanie historii i zaakceptowanie przewinień własnego kraju względem drugiego. Następnie wzbogaceni doświadczeniami i błędami przodków możemy zacząć budować relacje na nowo. Uniwersytet Europejski Viadrina, gdzie wśród obcokrajowców największą grupę stanowią Polacy, jest żywym forum, gdzie współpraca polsko – niemiecka jest nie tylko czystym frazesem lub hasłem jakiejś wystawy. Tu spotykają się codziennie setki młodych Polaków i Niemców, żądnych wiedzy, ciekawych kultury drugiego kraju, którzy często jednak mijają się bez słowa. Czy jest to strach przed obcymi, bariera językowa czy może stereotypy? Być może potrzeba wskazania drogi, stworzenia forum do dyskusji? Takim forum było dla mnie seminarium „Odra – Oder”. W każdym semestrze można znaleźć wśród wykładów kilka poświęconych kulturze obcego kraju. Jednak wciąż jest ich na Viadrinie zbyt mało, a gdzie jak nie tutaj tak mocno naderwana przyjaźń polsko – niemiecka ma szansę odbudowy?

Wykład „Odra – Oder” to tylko część projektu dr Beaty



Halickiej; była ona „czytaniem” o rzece i jej kraju. Gwoździem programu „Odra – Oder” jest planowany rejs na statku „Kuna” płynącym w dół Odry, w trakcie której będziemy mogli doświadczyć rzekę, zobaczyć ślady zniszczeń ostatniej wojny, wciąż obecne zarówno w rzeczywistości, jak i w naszych umysłach. Odwiedzimy miejsca, w których kiedyś wznosiły się mosty, lecz nie zostały odbudowane po wojnie, a także te, w których nowe konstrukcje, łączące oba brzozi pozwalają z nadzieją patrzeć w przyszłość. Rejs ma umożliwić bezpośrednie poznanie miejscowych i ich wspomnień, które są swoistym łącznikiem z przeszłością tego regionu. Miejmy nadzieję, że nurt Odry będzie łaskawy dla uczestników rejsu i projekt zakończy się sukcesem...

Jeden most pozwalający ślubniczanom dostać się na uczelnię i do pracy, a frankfurtczykom zrobić w Polsce zakupy i zatankować paliwo już istnieje. Obok niego skromnie i niepewnie powstaje drugi most. Wyglądem nie dorównuje temu pierwszemu, przypomina bardziej kładkę, ale już wkrótce może pomieścić dużo więcej ludzi... jeśli tylko ludzie po obu stronach rzeki zechcą go zauważyć i rozbudować...

## Felieton Piotra Goszczyckiego

### Współczesny sędzia kalosz

Scena kultury jest ostatnio bogata i przepelniona. Każdy chwali się śpiewem w karaokę, zdjęciem w komórce czy chwilą na tekst w slامية poetyckim. Są także, jak to mówi moja mama, „krzykacze zawodowi”. Tacy pseudokrytycy i nieudolni organizatorzy, którym się wydaje, że są najlepsi, najwięksi i najwięcej wiedzą. Współczesny sędzia kalosz zauważy kolegę bądź koleżankę. W kularach potem słyhać: „Twój wiersz przegrał z urodą tamtej dziewczyny”. Kultura nie powinna być chamską furtką w przepaść do nicości.

Dlaczego się tak dzieje? Przede wszystkim egoizm i zbyt małe poczucie własnej wartości prowadzi do tego, że „ci lepsi” muszą nadrobić straty emocjonalne. Wspinac się po trupach. Powstaje podział na ludzi równych i równiejszych. Snobizm i słowa „co to nie ja” powodują kolejne wywyższanie się i przebarwanie swoich dokonań.

Podobnie jest z fałszywymi pieniędzmi, które są w obiegu. Pozornie są identyczne i trudno je rozpoznać. Gdy fałszywki się zdemaskuje, sprawiają dużo przykrości ludziom niewinnym. Fałszywki idą do zniszczenia. A fałszywi ludzie? Są wśród nas, pełnią funkcje, są jak tysiące innych ludzi. Czasem się wyróżniają ambicją w wyścigu szczurów, by być za wszelką cenę NAJ. Nie można ich skasować. Wypada tylko ignorować.

Najbardziej przykry w tym wszystkim jest fakt bycia człowiekiem. Wiele osób skarży mi się na panią X. Zajmuje ona ważne stanowisko, odcinając sobie profity z nieuzasadnionej sławy. Ludzie doświadczają chorej ambicji człowieka, który ma ważniejsze sprawy niż pomoc. Współczesny sędzia może być czortem przebrany za poetę, muzyka czy innego „artystę”.

Cóż robić?

Życie jest krótkie i zbyt cenne, aby kogokolwiek krzywdzić. Pomagajmy więc każdemu, patrzmy na człowieka. Ufajmy. Być może i nam ktoś pomoże. Uściśnie dłoń, podziękuję, że jesteśmy ludźmi.

### Różnice poezji pokoleń

Wiersze piszą wszyscy. Od nastolatków po emerytów. Nastolatki marzą głównie o miłosnych próbach, a starcy opisują zmarłych małżonków. Wiersze dobre piszą osoby dojrzałe. Ci, bez względu na wiek, nie boją się poszukiwać i doświadczać energii słowa. Wiersze poprawne piszą osoby ciekawe warsztatu. Tu priorytetem musi być temat, a następnie umiejętnie ubranie go w słowa. Nie odwrotnie, gdyż z wiersza wyjdzie masło maślane. Wiersze grafomańskie piszą ci, którzy starają się być poetami na siłę. A poeta się nie jest, tylko bywa. To w dzisiejszych czasach nie nawyk, nie przymus, lecz dar.

Spotkanie pokoleń przy jednym stole poezji bywa konfliktowe. Młodzi udają lepszych, a starsi mądrzejszych. Powstaje debata o tym, kto ważniejszy, a nie dyskusja na temat wierszy. Stratni są wszyscy, którzy nie słuchają, a tylko mówią.

Ostatnio usłyszałem taki oto dialog: „Pani taka młoda, a tak poważnie tworzy”. „Tak? A pan taki stary i wciąż uprawia grafomanię!”. Jak to jest? Otóż myślę, że nie ma recepty na poezję. Tu w grę wchodzi tylko praca nad poprawieniem wiersza i mozolna praca nad sobą. Dopiero gdy w Wiśle dużo wody upłynie, widać efekty.

Czasem ktoś nas zauważy i podziękuję za chwile refleksji, czasem wręcz wyróżnienie, a czasem zaśpiewa: „Pisać każdy może, trochę lepiej lub trochę gorzej, ale nie o to chodzi, jak co komu wychodzi...”.

**PEGAZ LUBUSKI.** Czasopismo Literackie pod auspicjami WiMBP i ZLP. Red. nac. **Ireneusz K. Szmidt**, z-ca red. nac. **Beata P. Klary**, sekretarz redakcji: **Danuta Zielińska**, współpraca: **Krystyna Kamińska**, Wydawca: **WAG „Arsenal”**, ul. Matejki 82/3, 66-400 Gorzów Wlkp., tel./fax 095 7220 958, 0 501 520 227, e-mail: wag.arsenal@wp.pl, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, ul. Sikorskiego 107, tel. 095 727 70 70, 095 727 80 40 fax 095 727 70 75, zdjęcia: **I.K. Szmidt**, skład komputerowy **Paweł Marchwiński** 0 511 997 611.



Zrealizowano w ramach Programu Operacyjnego „Promocja czytelnictwa” ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



## Marek Wojciechowski

## Któryś dzień lipca, przy ognisku

*Ze specjalną dedykacją dla byłego Ministra Edukacji*

Szkapą, puściwszy oko ku nadobnej Zosi, zgrabnie siędła przy Milczku. Nie dali się prosić zbyt długo Tatarzyny, co to potop wszczęli, brnąć na skroś Świtezianką. Oni, po kądzieli zbratani przeciw z Lalką, poprzez narratora, którym był się okazał wielki Wernyhora, który, uciekłszy z matni, przybył do Kmicica, by wybudować domy. Szklane. Okolica, więc: Chłopi, Konopielka i pomniejsze Dziady oburzyli się strasznie: szkło? Nie! Bez przesady! Pamiętamy, jak Konik Garbusek próbował zrobić z siebie siłaczkę (z tym szkłem); spowodował jedno tylko: kontrolę Koziółka Matołka, który donosił skrycie do „Wprost” pana Wołka. Ten z kolei, skończywszy „W pustyni i w puszczy” rzucił się w wody Wisły, gdy mu Lem wyłuszczył, że „Solaris” to wódka pędzona nad Niemnem. Dość więc tego! Zagłoba, porwawszy królową, która się Śnieżką zwała, na cześć „Big Brothera” (Tuwim się w kułak śmieje - autor i przechera), zakrzyknął: „Hola, holla!” - gdzie jest miód Prosiaczka? Na co Kubuś Puchatek wychynała zniecka i powiedział: „spokojnie”. „Jeszcze Polska żyje, póki Kloss i Kasandra społem wódkę piją”. Ta zaś, wieszcząc od proga, postraszyła dżumą i spać poszła z Kmicicem. Straszny to był rumor, gdy się o tym dowiedział Boryna (ten z „Nany”). „Kmicic? Ten łże-watażka? Ten, co wszystkie damy opisuje w „Granicach”? Który, jako Narcyz, szerzy niedobrą miłość?... - „Veni, Vidi” - Marsjasz, siędlwszy na łonie Julii (tej od „Ferdydurke”) próbował konflikt zgasić. Na próżno: dwururkę uchwycił był Chmielnicki i, mierząc w niedźwiedzia, który, niebacznie zgoła, zajął się był śledziem pozostawionym w łódce starego człowieka (ta opisana była przed rokiem przez Wiecha), nie zauważył strzału. Trafion w przyrodzenie zaordynował krótko: „Gombrowicz jest w cenie, bowiem on jeden może, za pomocą brzytwy wyróżnić mnie to i owo.” - „Zwierzaku przebrzydły!” - zakrzyknął Hermaszewski, i jął wskrzeszać Łajkę, która nieco omdlała, po czytaniu „Bajki o siedmiu gąskach” (tekstu Przerwy-Tetmajera, który był wyszedł z krzaków). Jak ty możesz, Mišku, doprowadzać tę suczkę (która przede wszystkim gra główną rolę w „Chłopach”, obok Spidermana, Chucka Norrisa, Klossa, a także Batmana), do emocji tak wielkich, że konieczność wzywa posiłkować się ogniem i mieczem? - prawdziwa się wydaje albowiem historia, spisana przez Newtona, którego, pijany od rana Pan Skrzetuski (z „Wiedźmina”) do ogniska przyjął. Tu się wtrącił Sopllica: „Albom ja tu skrzyknął, do mojego ogniska same stare baby,

czy też watahę chłopca (opisaną w „Dziadach” przez Pana Wyspiańskiego)? A dodać do tego kohordy Wszechpolaków, którzy się z Tatary rzucili na Kraków, będziemy mieli komplet sprosznionego bractwa, co się mięsza i płacze, na wzór stada ptactwa”. Na to Norwid-kronikarz, skrobiąc piórem gęsim, jął w kąciku półgębkiem mamlać: „kęsim, kęsim”.

Tak się gaworzyło, przy ognisku lipcowym. Mnie przy tym nie było.

## Krystyna Olędrzyńska Fraszki o emerytach

\*\*\*

Kiedys był wyrocznia,  
Dziś w komputer stuka,  
Ażeby zasłużyć  
Na szacunek wnuka.

\*\*\*

Ogląda seriale,  
Dużo książek czyta,  
Dopóki Alzheimer  
O niego nie spyta.

\*\*\*

Tańczył na parkietach  
I mierzył wysoko,  
A teraz Parkinson  
Ma na niego oko.

\*\*\*

Na spacer chodzi niedaleko:  
Między przychodnią a apteką.

\*\*\*

Chociaż wzrok i słuch ma słaby,  
Odróżnia babkę od baby.

\*\*\*

Kiedy pamięć mu szwankuje,  
Swe zasługi pielęgnuje.

\*\*\*

Nie pocieszą żadne słowa,  
Kiedy gnębi rwa kulszowa.

\*\*\*

Choć zmarszczki na twarzy,  
O kochanku marzy.